Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

GEOGRAFIA ŁOWIECKA

PRZEZ

Dra J. Foichtingera.

Strefy łowieckie.

(Ciąg dalszy.)

Charakterystycznymi są na rozległych południowo-amerykańskich płaszczyznach dzikie konie i woły, potomkowie wprowadzonych przez europejczyków, nieskończenie obecnie rozmnożone. Miliony ich zapełniają te bezgraniczne przestrzenie. Dzikie konie mają przewagę w Pampach, dzikie woły w Sawannach Brazylii, Kolumbii i Buenos-Ayres. Przeciętnie idzie 800.000 skór wołowych z Sawannów na różne targowiska. Przy żadnem polowaniu nie występuje różnica między interesem a myśliwstwem tak rażąco, jak przy polowaniu na dzikie woły w południowej Ameryce. Myśliwy na nie nie jest łowcem w prawdziwem tego słowa znaczeniu, pożytek jest dla niego jedyną pobudką do działania. Pragnie tylko skóry dla handlu, mięsa do kotła fabryki ekstraktów, i mało się o to troszczy, gdy prawdziwy europejski myśliwy uważa go raczej za rzeźnika, a nie łowca. Tworzą oni dwie w kącie stykające się z sobą linie, otwory kątów wjeżdżają w środek trzody, i oddzielają od niej część zwierząt. Pojedyncze ich sztuki przyciśnięte są wskutek ciągłego galopowania do czoła kąta. Ponieważ przestrzeń coraz bardziej się zwęża, musi jedna sztuka za drugą biegać. Myśliwy postawiony u końca kąta ma najtrudniejsze zadanie. Z wielkę zręcznością podcina każdemu z kolei, w jakiej się pojawiają, żyłę u nogi. Gdy się to stało, to już wszystkie są pewne. Nie daleko już się zapędzą, a następujący na nie myśliwi zabijają je małymi sztyletami. Inaczej polują na dzikie bydło bogaci osadnicy. Uczestnik w takiem polowaniu opisuje je w następnych słowach: „Wyjechaliśmy i znaleźli wnet gromadę, liczącą około 400 sztuk dzikich wołów, żerujących w pobliżu lasu. Jedna z tych wskazana była jako przedmiot polowania. Wjechaliśmy następnie pośród zwierząt, które popłoszone na wszystkie strony się rozpierzchły. Zadaniem naszem było wybranemu zwierzęciu przeciąć drogę do ucieczki. Jest to rzecz najbardziej ciekawa, daje bowiem sposobność jeźdźcowi i koniowi okazania zręczności. Z początku wszystko szło dobrze i wiele nam sprawiało uciechy, ale wnet inaczej się stało. Mieliśmy prócz obranej ofiary około 20 sztuk obok naszych koni, które wściekle nas atakowały. W końcu udało nam się niektóre z nich oddzielić, a między temi wybraną sztukę. Wysilaliśmy się w celu odcięcia im drogi do lasu, ale nacierały na nas tak straszliwie, że musieliśmy użyć całej naszej przytomności umysłu, aby siebie ocalić, nie mogliśmy więc zapobiedz ich ucieczce do lasu. Odtąd już przerwało się nasze wspólne

działanie. Las podszyty był gąszczem, w którym jazda była nader niebezpieczną, zwieszone gałęzie przyczyniały się też do utrudnienia jazdy. Ciekawym był widok, z jaką zręcznością poruszali się myśliwi na tym terenie, jak między gałęziami się wywijali, nieraz po bokach koni zwieszeni. Ja nie umiałem dotrzymać im kroku i poznałem, co z takimi ludźmi i w takim kraju dokazać można. Wnet spostrzegłem jednego z nich pędzącego z lassem za jednem z zwierząt. Zarzucił on lasso w około rogów, a zwierzę szamotało się rozpaczliwie w celu uwolnienia się od tych pęt. Miało ono widocznie zamiar wziąć konia na rogi, ale on utkwiony miał wzrok w bydlę i ciągle lasso było wyprężone. Nadbiegł drugi jeździec i również spętał zwierzę. Wtedy już ono się uspokoiło i dało sobie nogi związać. Ale wnet mimo utrudzenia po trzechgodzinnej gonitwie wpadło w szał wściekły i usiłowało się uwolnić. Wreszcie podkradł się jeden z myśliwych z nożem myśliwskim, i podciął szybko żyły u obu nóg. Byk wydał z siebie straszliwy ryk i padł na bok. Inny nożem przeciął mu gardło, i zwierzę z ostatnim rykiem legło martwe".

Ulubionem polowaniem u wybrzeży południowej Ameryki jest na rekina (żarłacz ludojad). Pospolity on tam, a krajowcy łowią go w sposób zuchwały. Uzbrojeni tylko w nóż zanurzają się, a gdy rekin ich chce pochwycić, zatapiają nóż w jego ciele. Majtkowie także prześladują rekina. Rzucają kawał mięsa na łańcuchu jako przynętę, a gdy rekin mimo tego znika, to uchodzi to za przepowiednię nieszczęścia. Wszyscy czekają z przerażeniem, czy wynurzy się z wody biały brzuch potwora. Często unoszą ponętę ponad fale, a wtedy rekin wyskakuje prawie z wody. Jedna ręka trzyma na pokładzie linę, od której całe powodzenie zawisło. Trzeba być cierpliwym i wyczekiwać, aż potwór ponętę mocno uchwyci. Wtedy następuje silne szarpnięcie i ostrze zatapia się w gardło lub w żołądek. Wyciągają go na powierzchnię wody i rozbrzmiewa okrzyk radości. Gdy już zwierzę widocznie bardzo osłabione, wciągają je na pokład. Ale i teraz jeszcze nie można się ku niemu zbliżać. Uderzenie siekierą oddziela niebezpieczny ogon od korpusu, wtedy wskakuje jeden z majtków na rekina i jednem cięciem rozpruwa mu brzuch. Ciekawość jest pobudką do zbadania żołądka strasznego przeciwnika. Często on jest próżny, ale nieraz znajdują się tu najrozmaitsze przedmioty. Raz majtkowie angielskiego okrętu znaleźli skórę bawolą. Domyślali się, że połknął bawoła i nie mógł strawić jego skóry. Chyba legenda o Jonaszu pochodzi od marynarzów.

Płazy są w tropikalnej Ameryce nader liczne. Olbrzymie węże, przepysznie zabarwione drzewne węże, leguany są pospolite. W rzekach kryją się mnogie ryby drapieżne, ogromne żółwie i kaimany, pierwowzory krokodylów i alligatorów starożytnego swiata. Polowanie na krokodyle nie znajduje wielu zwolenników, w Indiach, w Egipcie, w południowej Ameryce tylko europejczycy biorą w nich udział. Wspomina jednak już Pliniusz o takiem polowaniu. Opowiada, że Tentyryci, mieszkańcy jednej z wysp Nilu, utrzymywali, iż krokodyl tylko dla tych groźnym, którzy uciekają, umyka jednak natychmiast, gdy się na niego naciera. Według jego opisu wskakiwali ludzie za krokodylem do wody, siadali mu na grzbiet, pakowali drąg w jego paszczę, i trzymając w rękach oba końce, prowadzili go na brzeg. W podobny sposób polują Indianie u brzegów rzeki Essequibo na kaimana. Kładą ponętę na brzegu, i naśladują za pomocą skorup muszlowych jego głos. Skoro potwór u brzegu się pojawi i chwyta ponętę, zarzucają nań harpunę. Często siadają mu na grzbiet i wiążą paszczę.

Australia.

Australia tworzy co do fauny tak jak Ameryka i Afryka odrębną całość. Właściwość form jest nawet wyraźniejszą. Fauna Australii odmienną jest zupełnie zwłaszcza co do ssaków od innych kontynentów.

Małp wcale tu niema, również wszelkich wielkich drapieżników, dziwne torbacze mają tu swoją ojczyznę, a ich rodzaje stanowią $^{2}/_{3}$ ssaków całego kontynentu. Ich młode pozostają jak wiadomo, przez długi czas z matką, najczęściej 50 dni. Najważniejszymi dla myśliwstwa są rodzaje kangurów, z których najponętniejszym jest kanguru olbrzymi. Różnorodne rodzaje są rozmaitej wielkości. Niektóre mają rozmiary szczura, gdy olbrzymi wysokim jest na sześć stóp, waży więcej jak 200 funtów, silnym jest bardzo, ale niezmiernie trwożliwym. Gdy czuje, iż uciec nie zdoła, używa swoich sił i walczy w sposób nieraz dla przeciwnika bardzo niebezpieczny. Zdarzało się, że kangury chwytały ludzi na nie nacierających i unosiły, i dopiero przestraszone pojawieniem się psów puszczały. Nie ma dla kanguru straszniejszego zwierzęcia jak pies, na jego widok traci przytomność. Rączość kanguru jest niesłychaną, gdy w pełnym jest pędzie, nie można odróżnić tylnych łap, a cała masa wygląda według twierdzenia Wilkinsona, jak wystrzelony kłąb jakiś. Oswajają się łatwo, a mięso pòdobne do zajęczego.

Rodzaj *opossum* (Hundsgesicht) łączy w sobie właściwości psa i pantery i żywi się rybami. Niektóre gatunki opossumów mają błony lotne, za pomocą których czynią dalekie skoki z gałęzi na gałęź, z drzewa na drzewo. Inne rodzaje są wielkości od kota do myszy. Dziwnem stworzeniem jest pies australski *(dingo)*, owa plaga trzód owczych. Jest to pies na pół oswojony pierwotnych mieszkańców i prawdopodobnie typ psa pierwotnego. Bardzo jest podobny do wilka, również dziki, a tak silny, że osła unieść potrafi. Włóczy się samotnie lub gromadnie i uchodzi za nader groźne i szkodliwe zwierzę.

Właściwymi tej części ziemi są dziobaki *(ornitorhynchus paradoxus)*, żyjący w namule i norach ziemnych. U wschodnich wybrzeży zajmują się krajowcy łowieniem olbrzymich żółwi, a na skałach koralowych Torres jest *trepang* pospolitym. W celu połowu jego pojawiają się corocznie chińskie i malajskie floty, pierwsze posterunki południowo arktycznego myśliwstwa, odpowiednie polarnemu północnych szerokości

Śród ptactwa stałego lądu zasługuje emu, struś australski, na wspomnienie, osobny rodzaj kazuara, przeciągający gromadnie płaszczyzny, następnie czarny łabędź. Oba te ptaki są wszakże, przynajmniej dzisiaj dla myśliwego małego znaczenia. Polowanie na nie nie jest wyrobione, zwykle nawet mało zajmujące. W ogóle myśliwstwo w Australii mało rozwinięte z powodu ubóstwa okazów zwierząt, odosobnionego swego położenia i stosunkowo nowej kolonizacyi. Obecnie stara się usilnie europejska kultura nadać życiu australskiemu i całemu krajowi inne barwy. Wprowadzono tam domowe zwierzęta, ryby i ptaki spiewające europejskie, szczęśliwe próby uczyniono z wpro-

wadzeniem wielbląda i lamy, rozszerzono hodowlę bydła i górnictwo, toż widok kraju jest obecnie zupełnie odmiennym. Należy się spodziewać, że potęga twórcza ludzkiego rozumu i szlachetny zawód myśliwstwa w Australii podniesie na wyższą stopę. Szerokiemu i sztucznemu rozwinięciu jego na wzór innych kontynentów przeszkodzi zapewne uboga flora i fauna australskiego stałego lądu jeszcze na czas długi, może nawet na zawsze. Australia jest częścią ziemi chylącą się do zniknienia. Niegdyś łączyła się ona z azyatyckim kontynentem i z wyspami azyatyckiemi. Zwolna zniżał się ów ląd, a ludność i świat zwierzęcy wyparte zostały mimowiednie ku szczytom gór. Obecnie sterczą tylko szczyty tego potężnego, zapadłego kontynentu, i tworzą dzisiejszą Australię i jej wyspy. Mieszkańcy coraz więcej zmuszani do ciężkiej walki o byt, wytępili do szczętu większe zwierzęta, i ztąd to pochodzi brak ich tak rażący w obec bogactwa w tym względzie południowo azyatyckich wysp. Podstawy tych przypuszczeń są w części geologiczne, w części zaś wynikają z przechodu azyatyckiej i australskiej fauny na wyspach zaindyjskich. Zresztą zrobili Wilhelm Humboldt i Busch spostrzeżenie, że polinezyjscy malajczycy posiadają pierwotny typ mowy malajskiej. W malajczykach wysp australskich mamy więc część tego wielkiego ludu, który się od Madagaskaru aż do wysp Oster rozszerza. Zewnętrzne znamiona ciała wskazują wprawdzie odmiany w różnych pokoleniach, ale mowy i obyczaje są w swem podobieństwie niezbitym dowodem dawnego związku. Najprawdziwszym typem polynezyjskich malajczyków są według Hochstättera Maorowie Nowej Zelandyi. Nie może być naszem zadaniem wskazywać dziwne cechy obyczajów tych pokoleń. Bliskie one są obecnie, przynajmniej w Nowej Zelandyi, wymarcia, a dla myśliwego może być interesującem tylko to, że polinezyjczycy nie znają użytku naczyń do gotowania i że mięso w grubach pieką. Często staczają walki z powodu udziału w zdobyczy, odbywające się z pomocą maczugi. Zwycięzca piecze pokonanego i spożywa go. Odmienną od polynezów rasą jest negrów australskich *(Papuas, Alfurus)*, przedstawiająca najniższy stopień rodu ludzkiego, pozostałość pierwotnych mieszkańców dawnego kontynentu, pokonanych i wypartych przez Malajczyków. Myśliwstwo obu tych ludów nie zasługuje na wzmiankę. Jak świat zwierzęcy i roślinny tej części ziemi, tak też człowiek w swojem działaniu jest jednostajnym. Szczególną właściwością krajowców jest tylko polowanie na Kanguru „dzikiego człowieka“. Zwierzę to znika coraz bardziej z powodu nieustannego prześladowania, i cofnęło się w wnętrze kraju. Należałoby prawnie zapewnić jego byt. Osobliwym wyrazem odznacza się też polowanie na emu, strusia Australii. Aby tej rozkoszy łowieckiej co do obu tych zwierząt należycie użyć, trzeba przekroczyć granice cywilizacyi czyli najskrajniejsze mieszkania osadnicze. Wozi się przeto namioty, aby pod nimi noce pod otwartem niebem przepędzać. Polowanie rozpoczyna się z brzaskiem dnia i nie rzadko się zdarza, że psy wypłaszają gromady złożone z 70—80 sztuk kangurów albo emu Liczba ta jednak umniejsza przyjemność, ponieważ psy same wiele tych zwierząt duszą. Piękności w łowach australskich nie ma, monotonne są one i nużą wnet z powodu braku urozmaicenia. Im głębiej wchodzi się w wnętrze kraju, tem rychlej następują po sobie gromada za gromadą i nieraz ubija się w jednym poranku i kilku godzinach 20—30 kangurów. Przed 9 ranną godziną już często dwa wozy wołowe napełnione są kangurami i emami. Psy, których myśliwi używają, są mięszańcami krajowych z europejskimi. Posiadają znakomite przymioty, mianowicie śmiałość i rączość. Na krajowego psa Australii, dzikiego dingo poluje się w rozmaity sposób. Ciekawym jest jeden z nich zmuszający dingo do samobójstwa. W horyzontalnie położonym, wydrążonym pniu kładzie się nabitą strzelbę. Po za pniem w oddaleniu około jednej stopy leży kawał mięsa umocowanego na sznurku. Sznur prowadzi do wnętrza drzewa i przywiązany jest do kurka odwiedzionego u strzelby. Pies chciwy ponętnego żeru pociąga sznur, strzelba wypala i ubija go.

Mniej jeszcze, jak australski stały ląd, dostarczają myśliwemu zdobyczy australskie wyspy. Nowa Zelandya prawie nie posiada ssaków, ledwie jeden gatunek dzikiego psa, zresztą chyba nietoperze i szczury. Ciekawy ptak Kiwi wnet zupełnie zniknie, a olbrzymia ośmnastustopowa Moa, jedyne zwierzę łowne tego kraju, już jest wygubiona.

Europa.

Stosunki geograficzne Europy są dla myśliwych nader ważne. Łowy w Europie nie utraciły wprawdzie powabu, ale utraciły one w każdym razie swoją grozę. W ognisku cywilizacyi i oświaty jest łowiectwo miłą rozrywką dla wykształconych umysłów. Pomnaża ona przyjemności życia i jego komfort, rozwija układne formy towarzyskie i krzepi zdrowie żywą ruchliwością. Wraz z zupełnem niemal wytępieniem srogich zwierząt w Europie, utraciły łowy cechę groźnych i dzikich niemal zapasów, jakie się znaczą dziś jeszcze na innych kontynentach. Wolne od wszelkich extremów poruszają się łowy tak jak cała kultura tej części świata, w umiarkowanym stopniu. Niejednemu zuchwalcowi, który dosyć w sobie czuje siły, współzawodniczyć skutecznie z łowcem w tropikalnym żarze indyjskich stepów lub w głębi puszcz leśnych Ameryki pod względem dzielności i wytrwałości, może to być niemiłem, lecz niech rozważy, *medium tenuere beati* Powody, które wpłynęły na złagodzenie europejskiego łowiectwa, na ułożenie jego w ramy gładszego i wysoko ukształconego życia, są przeważnie te same, jakim kontynent swoje stanowisko w historyi oświaty zawdzięcza. Nigdzie w Europie ostateczności w tak rażący sposób nie występują, jak to się dzieje w Afryce, Azyi albo Ameryce. Europa nie zna takich kontrastów, jakie istnieją w puszczach Gobi, tumanami piasku lub zamieciami śniegu chłostanych, lub na dolinach bogatych w roślinność Gangesu, jakie pojawiają się w uginających się pod ciężarem tropikalnym lasach Amazonek i na śmierć szerzących stepach olbrzymiego jeziora słonego. Południowo zachodni wiatr przemaga, wody morskie ogrzewają powietrze, a przeważnie oceaniczny klimat usuwa różnice, które w wnętrzu innych kontynentów tak rażące nierówności w życiu przyrody wywołują. Ów charakter Europy, sprowadzający do jednej miary wszelkie stosunki, wyrównujący wszelkie zboczenia, wywiera też wpływ na życie jej ludów, nie mniej na florę i faunę. Wcale jest niemożliwem, by w lasach europejskich, podobnie jak w amerykańskich, obok ucywilizowanego myśliwego pojawił się czerwonoskóry dziki, ani pomyśleć o tem można, aby trzody i stada naszych ziemian tak jak farmerów, narażone były na napaści dzikich bestyj. Tak jak Europa łączy roślinność przeciwnych sobie stref, tak też jest właściwym przybytkiem

zwierząt domowych. Srogie zwierzęta, z wyjątkiem niektórych miejscowości, prawie zupełnie znikły, niegroźne zwierzęta łowne w ciasne granice i umiarkowaną liczbę ujęte, a leśnictwo i łowiectwo coraz bardziej ustępują rolnictwu i fabrycznemu przemysłowi. Europa traci z każdym dniem dawną ozdobę swych lasów, gdzie niegdyś rozlegały się puszcze leśne, tam obecnie wznoszą się obnażone wyżyny, a gdy jeszcze przed wiekiem potrzeba było płody ziemne od szkód przez zwierzynę wyrządzoną ubezpieczać, to dziś przeciwnie należy łowiectwo osłaniać wobec nierozumnej praktyki wielowładnych gmin i zuchwałego kłusownictwa.

Pod względem łowieckim można Europę na trzy strefy podzielić, których podstawę tworzą masy gór, przeciągające na naszym kontynencie od zachodu do wschodu. Pyrenee, Alpy i Bałkan, w ogólności jednakowej formacyi, dzielą od siebie różne kraje. Od strony południowej wynurzają się trzy wielkie półwyspy europejskie aż ku morzu śródziemnemu i ku ciepłej strefie, na północy zaś rozlegają się w dalekim łuku naprzód kraje pagórkowate, wreszcie głębokie doliny aż ku wybrzeżom morza lodowatego. Rozróżniamy przeto w Europie samej ciepłą, czyli południową, umiarkowaną, środkową i zimną strefę. Podziałowi temu odpowiada też rozdział świata zwierzęcego. Staraniem będzie naszem scharakteryzować te trzy strefy w odpowiedni łowiectwu sposób. Ciepła, południowo-europejska strefa zawiera w sobie śródmorską faunę. Przebywające tu rodzaje zwierząt sięgają po za wybrzeża śródmorza aż do płaskowzgórzy Iranu i wysp Kanaryjskich. Z północnej Afryki dochodzi tu rodzaj małpy, *innuus ecaudatus*, Nigdzie już nie pojawia się właściwa zima, a przebieg roku co do roślinności jest nieprzerwany. Gdy rozpatrujemy układ świata zwierzęcego od północy Europy aż do północnego skrawka Afryki, to znajdujemy niezamąconą harmonię z dawniejszym związkiem obu kontynentów. Tak jak ród małp ostateczny swój okaz aż do Gibraltaru wysyła, tak staje się wilk coraz rzadszym, im bardziej zbliżamy się ku południowi Europy, a w północnej Afryce nie ma go wcale. Jelenie i sarny znikają w miarę posuwania się ku południowi, a na ich miejsce występują antylopy, które w wysokiej Afryce dochodzą do największej liczby rozpłodu, a tylko północna Afryka ma jeszcze daniela. Również kuny ubywają coraz bardziej ku południowi, a w miejsce ich wchodzą łasicowate *(viverridae)*, pojawiające się już w coraz większej liczbie w południowej Europie. Przeciwnie ród koci zwiększa się ku południowi, a już na północnym brzegu Afryki występują lew, hyena, lampart i gepard. Jeżozwierz i dziki królik są u siebie na wybrzeżach morza śródziemnego, w górach Sardynii i Grecyi żyje muflon. Sępy i płazy mnożą się, im bardziej kroczy się ku południowi, między arachnidami jawią się skorpiony. Ptactwo brodzące i pływające rośnie w liczbę od północy ku południowi, a na wybrzeżach północnej Afryki już licznymi są flamingi, ibisy i pelikany. Opisane owe miejsca ubogie są w zwierzynę łowną, ale stosunki były tu niegdyś zupełnie inne. Grecya, Hiszpania i Włochy, a najbardziej ostatnie, miały swój wiek złoty dla nemrodów. Grecya bogatą była dawniej w wilki, niedźwiedzie, szakale, rysie, lew i jego pokrewni mieszkali na stokach Pindu i na wybrzeżach Morei, a historya włoskiego sportu łowieckiego jest znakomitą częścią tego przedmiotu. Włochy widziały w czasach rzymskich najwyższy stopień rozwoju siły zwierzęcej, do dzisiaj niedosięgnięte próby oswajania dzikich zwierząt, w swych cyrkach. Dziś tam stosunki łowieckie wcale nie są uwagi godnymi, łowi się gołębia wędrownego w sidła, nastawiane od drzewa do drzewa, gdzieniegdzie w Abruzach strzela się do wilka z zasadzki, a na alpejskich turniach ubija kozicę i koziorożca w sposób dobrze znany. Mieszkańcy Sycylii są zapamiętałymi zwolennikami łowiectwa i rybołowstwa. Wyprawiają się z zapałem na dziki, wilki i lisy, rzadko na tej wyspie się pojawiające, ale metoda ich łowów niema prawie wcale systemu.

Bardziej jeszcze jak Włochy pozbawiona Hiszpania uregulowanego łowiectwa. Dostojnicy i grandzi hiszpańscy nie są adoratorami wdzięków Diany, a ubogi zwierzostan kraju wspiera ich w tej apatyi. Cały ich zapał sportowy koncentruje się w walce byków. Ona jest jedyną, prawdziwie narodową rozkoszą, największem upodobaniem wszystkich stanów. Amfiteatr madrycki mieści w sobie 12 do 14.000 widzów, i żadne inne najbardziej artystyczne widowisko nie zapełni go w takiej liczbie, jak ów popęd ujrzenia wypruwanych trzewi z kilku lub kilkunastu rosinantów. Arena ma cztery miejsca wolne, odpowiadające swem położeniem czterem stronom świata. Jednem z nich wchodzi naprzód dyrektor w starożytnym, hiszpańskim stroju, w czarnym płaszczu i kapeluszu z białemi i czerwonemi piórami. Na dany znak rozpoczęcia igrzysk, pojawiają się dwa konie z jeźdźcami z grzbietem od siebie odwróconym. Ostatni trzyma się lewą ręką za pomocą linewki, do siodła przymocowanej, w prawej dzierży ostro zakończoną laskę do odpędzania byków. Wpędza się następnie byki, których kończyny rogów skórzanemi wałkami są pokryte. Wpadają one na nędzne, wychudzone rosynanty i obalają je wraz z jeźdźcami na ziemię. Radośny oklask tłumu towarzyszy tej na pozór nic nie znaczącej igraszce, która jest tylko przegrywką do następnej krwawej sceny. Wpuszczają potem na arenę byka z odsłoniętymi rogami, a dwaj najzręczniejsi jeźdźcy atakują go lancami. Uchylają się oni zwinnie od napaści byka, zdarza się jednak często, że jeden albo drugi wraz z koniem zaryje się w piasek. Wtedy piechotni zapaśnicy, drażniąc byka kolorowemi chorągiewkami, wabią go ku sobie, i szpikują grzbiet jego, ile razy głowę do ataku zniży, małemi spisami. Tym sposobem bywa zwierzę do wściekłości pobudzane i osłabione. Gdy już jego siły mocno wyczerpane, zbliża się główny zapaśnik. Trzyma on przed sobą rozpięty czarny płaszcz, a w prawej ręce miecz, który zatapia zwierzęciu w grzbiet. Gdy padnie, dobija się je nożem. W końcu w tryumfie obnoszą w arenie ciało pokonanego byka. Według zdania naocznych świadków sprawia widowisko to wrażenie wcale nie estetyczne i w wysokim stopniu wstrętne, i nie wywołuje owych podniosłych uczuć, jakim się cechuje szlachetny sport.

Umiarkowana, średnioeuropejska strefa dzieli się na część południową i północną. Pierwsza zawiera w sobie przylegające bezpośrednio do Alp i ich promieni kraje, mianowicie całą Francyę, południowe i środkowe Niemcy, Węgry aż do Karpat, Mołdawię i Wołoszczyznę, tureckie prowincye na północy Bałkanu, południową Rosyę. Tu już nawet w dolinach pojawia się zima, a przebieg roku pod względem roślinności jest przerywany. Trwa ona, jak wiadomo, od połowy Marca do połowy Października. Gdy w poprzedniej strefie uprawa lasu i roli są z sobą połączone, wiązy, klony i topole pola rozdzielają, a nawet winna lato-

rośl po drzewach się wije; to w ostatniej rolnictwo wolne jest od tych przydatków. Z roślin południowych tylko wino przechodzi prawdziwie w południową część umierkowanej strefy, a figi, migdały i kasztany nie nadają jej istotnego życia. Obok roli jawią się w tej strefie łąki, których brakuje poprzedniej, a las pozyskuje wysokie znaczenie. Stan jego rozdziela się na liściasty i iglasty, pierwszy reprezentowany przez buczynę i dębinę, drugi przez świerk i sosnę. Racyonalne gospodarstwo lasowe tworzy tu dobroczynne przeciwieństwo do niegodziwej, rozbójniczej kultury południowej, a leśnik niemiecki widzi w lesie strój godowy ziemi i nieochybne warunki dobrobytu ludowego. Żaden naród od najdawniejszych aż do obecnych czasów nie ukochał tyle swoich lasów, jak niemiecki, żaden nie zanurzył w nich tyle swego uczucia, swej boleści; słusznie przeto czci on w swoim racyonalnym leśniku ofiarnego stróża najdroższych swych skarbów przyrody. W tej strefie wznosi się wspaniały gmach Alp. Imponujące szczyty, ciemne lasy ozdobione szmaragdowemi jeziorami, otaczają je, a żywy ruch działania ludzkiego sięga nawet do najbardziej zapadłych przepaści. Niejedne góry prześcigają wprawdzie nasze Alpy co do masy, wysokości i rozległości, ale żadne nie przewyższają ich w piękności formacyi, w harmonii między człowiekiem a ziemią, w znaczeniu pod względem kultury. Alpy są przeważnie niemieckiemi, nawet gdzie romańskie formacye w nie wkraczają, to nie są one, nawet w Szwajcaryi dominującemi, i przyczyniają się tylko do podniesienia etnograficznego bogactwa barwnego gór. Gdy największa część gór na ziemi stanowi zapory, to Alpy są raczej olbrzymią salą godową, na których gruncie południe i północ Europy w swobodnym z sobą stosunku duchowe i materyalne swoje skarby wymieniają. Z tego patrząc stanowiska należy tory żelazne, przecinające w różnych kierunkach doliny alpejskie, uważać może jako najcenniejsze nici w zawiłej sieci ludzkiego rozwoju. Na turniach alpejskich żyją świstak i kozica. Kozica jest zwierzęciem prawdziwie górskiem, nigdy ona w doliny nie schodzi. Godnym ona jest celem niemieckiego łowca, nie mało bowiem potrzeba odwagi, zręczności, siły i wytrwałości, nim nadejdzie chwila odpowiednia do strzału. Żadne inne łowy europejskie nie dają tyle rozkoszy i zadowolenia, ile łowy na kozice. Gdy myśliwy nocą wyrusza w celu dosięgnienia miejsca żerowania tych zwierząt, kroczy zrazu przez ziemię uprawną i pastwiska, przechodzi około spokojnie pasących się krów, ustronnych bud pasterskich, ale ponad jego głową wznosi się teren łowiecki, drażniący nawet najsilniejsze nerwy, do pokory uginający nawet tych, którzy zwykli zdobycz swoją myśliwską w puszczach Azyi i Ameryki wybierać. Kiedy już po długim, mozolnym i niebezpiecznym pochodzie miejsce pobytu zwierząt jest stwierdzone, to nie małych potrzeba wysileń, uwagi i przezorności, aby podkraść się pod nie. Podczas gdy myśliwy po przepaścistej kroczy ścieżynce, drapie się ze skały na skałę, to musi w każdej chwili przezorność swoją kierować ku zachowaniu swego życia, krok niewłaściwy w tę lub ową stronę, a gorąco pożądana zwierzyna uchodzi, lub przyjmuje go w swoje łono przepaść, ziejąca straszną i tajemniczą śmiercią. Jeżeli się zbliżył szczęśliwie na strzał, opiera strzelbę o skałę i wysyła grom. Zwierzyna pada, ale może w niedostępną przepaść, z której niepodobna jej dostać. Łowiec nie waha się sięgnąć po nią, i często w tem usiłowaniu śmierć znajduje, lub dosięgnąwszy zdobyczy nie może jej unieść i suknię z niej tylko zdziera. Gdzie cały kierdel kozic się znajduje, to wystawia on, jak wiadomo, straż, która właściwym sobie głosem zagrażające niebezpieczeństwo zwiastuje. Nie ma nic wspanialszego, ale też więcej przejmującego grozą, jak widok w ucieczce pomykających kozic. Wzdłuż strasznych przepaści drapie się zuchwały łowiec po stromych skałach bez rozwagi, ażali odwrot będzie dla niego możliwy. Często zabiegnie mu drogę czarna noc podczas tych wysileń, mimo tego jednak nie ustaje w prześladowaniu zwierzyny. Wie on dobrze, że kozicy, tak jak jemu, ciemność nocy, zatamuje drogę, i że ona gdzieś pod skałą u bezdennej przepaści się ukryje. Tu spożyje on skromny swój posiłek i broni się od snu, któryby go mógł w czarną czeluść strącić. Pierwsze promienie wschodzącego słońca zastają go już gotowego do dalszego działania aż do uwieńczenia trudów pomyślnym skutkiem, chyba że jaka katastrofa śród tego morza skalnych szczytów nie dozwoli mu dojść do upragnionego celu. Tak więc łowy na kozice droższe są dla myśliwego, jak życie, bo kończą się one niestety zbyt często utratą jego. Nie sama przez się nie wiele cenna zdobycz, lecz samo szlachetne działanie jest tu bodźcem, gorąco przejmującym duszę. Owo zupełne zapomnienie o pożytku, zestawione z ofiarą życia, charakteryzuje wzniosłość tego rodzaju łowów. Nawet kłusownik, pozornie szukający korzyści, prześladujący kozicę, bywa szlachetniejszemi uczuciami natchniony. Kłusownicy leśni i polowi na równinach, gdy ich stosunki majątkowe korzystnej ulegną zmianie, prawie zawsze odstępują od tego zbrodniczego rzemiosła, ale rzadko to się zdarza u kłusownika na kozice. Wszak właśnie zamożni włościanie dostarczają najznaczniejszego kontyngentu do szeregu tych złoczyńców. Saussure usiłował raz takiego namiętnego kłusownika w Chamounix, który właśnie był się z miłości ożenił, odwieść od tego rzemiosła. Ów młody człowiek słuchał jego upomnień z wytężoną uwagą, ale odrzekł wreszcie: „Łaskawy panie, nie powiedzie mi się to, co się memu ojcu nie powiodło. Mój dziad zginął w wyprawie na kozice, ojciec mój również. Zaklinał on mnie jeszcze na kilka dni przed swoją śmiercią, abym się nie narażał na takie niebezpieczeństwa, jakie jemu śmierć przyniosły. Upomnienia te ojcowskie mam zawsze w pamięci, a jednak jestem pewny, że inną śmiercią nie zginę, i nie przyjmę innego trybu życia, choćby ono pełne było rajskich rozkoszy“. Zdaje się, że potęga wzruszeń, częste i nagłe zmiany, nieustanna walka z przeciwnościami, wywierają głęboki wpływ na umysły tych dzieci natury i że szczególny musi być w tem urok, patrzyć z skalistej turni, w wysokich sferach powietrznych, na całą rozległą przestrzeń i z niej wysyłać kulę śmiercionośną. Nie ma sportu godniejszego dla dzielnego i wyższej myśli łowca, niema innego, któryby w równej mierze nadawał ciału czerstwość i zdrowie, członkom siłę i elastyczność, duchowi wyższy polot. Toż żadne inne zwierzę nie ściąga za sobą tylu najdzielniejszych i najznakomitszych łowców, ile ów czworonożny akrobata alpejskich turni. Na czele wszystkich książęcych myśliwych stoi obecnie bez zaprzeczenia jako wzór siły i męskiego ducha monarcha Austryi, a szczyty styryjskich i solnogrodzkich gór są często świadkami jego prawdziwie rycerskich czynów. Od wieków Habsburgowie odznaczają się znakomitymi przymiotami łowieckimi, a obecnie widzimy usiłowania najdostojniejszego rodzica przelania w syna rodowej dzielności urzeczywistnione.

Północna część umiarkowanej środkowo-europejskiej strefy sięga od południowego rąbka germańsko-sarmackiej niziny aż ku Drontheim w Norwegii i ku wybrzeżom finskiej odnogi. Drontheim, Gefle i Kazan są jej najpółnocniejszymi kresami. Zima tu już dłużej trwa, jak lato, a roślinność żyje ledwo pięć miesięcy. Grunt pszeniczny ustępuje coraz bardziej, a żyto jest reprezentantem uprawy zboża. Lasy coraz rozleglejsze, im bardziej posuwamy się ku północy, a miejscami rozścielają się jeszcze puszcze leśne. W północnej stronie ubywa rodzajów drzew, buk znika już w środku tej strefy, dąb zaś kroczy jeszcze ku północy. Brzoza tu najrozleglej się rozszerza, świerk, sosna i jałowiec wypierają resztę drzew iglastych. Jeleń i sarna pospolitemi są tak w północnej jak południowej części strefy umiarkowanej, jak również wyższe ptactwo łowne. Nie naszą rzeczą pouczać myśliwych o sposobach polowania na te zwierzęta, nie zajmujemy się właściwie łowiectwem, naszem zadaniem naznaczyć tylko stosunki łowieckie w krótkich, dosadnych słowach, wyraźniej bardziej oddalone, jak bliskie, obszerniej różniące się znacznie od mniej lub więcej im podobnych. Z tego stanowiska nie wiele pozostaje nam dorzucić jeszcze do określenia stosunków łowieckich naszej części świata. Znajdujemy wprawdzie jeszcze żubra w puszczy Białowieskiej na Litwie, ale byt jego polega już tylko na sztucznem hodowaniu, a zwierzę to już nie jest celem łowieckich zabiegów. Łoś był niegdyś w całej tej strefie, dziś pojawia się już tylko na północy i wschodzie Europy. Nie jest on tu tak licznym, jak w północnej Ameryce, sposób też polowania na niego nie obudza tyle interesu, ile w Ameryce. Wilki, rysie, lisy i niedźwiedzie są w obu częściach strefy, liczniejsze wszakże na północy i wschodzie. Lasy niziny sarmackiej, Szwecyi i Norwegii są szlakami, na których owe drapieżne zwierzęta w Europie jeszcze w szkodliwej liczbie się znachodzą. Zresztą wyparły je wszędzie pług i siekiera, a łowiec zakończył już niemal heroiczną część swej misyi. Sposoby polowania na te szkodliwe dla człowieka zwierzęta znane są powszechnie, i tylko w tych miejscowościach się różnią, gdzie ich tępienie staje się kwestyą ludową. Dzieje się to zwłaszcza w Rosyi i Szwecyi. Gawra brunatnego niedźwiedzia ukryta jest w Rosyi zwykle w najniedostępniejszym gąszczu. Sen jego zimowy rzadko jest twardy, przeciwnie często przerywany, wychodzi on nieraz w celu żerowania. Przy takiej sposobności styka się często z włościanami. Kto go pierwszy spostrzeże, przyzywa spiesznie pomocy, bo atak na niego wymaga przynajmniej trzech osób. Z dwoma lub trzema kulami w cielsku ma jeszcze dosyć siły śmiertelnie kaleczyć swych napastników. Są jednak moskiewscy włościanie, którzy nie wahają się stanąć z nim pojedyńczo do walki, uzbrojeni tylko w długie noże, mieszkańcy okolic lesistych noszą więc je zawsze za pasem. Niedźwiedź rzuca się z rozwartemi łapami w celu przychwycenia myśliwego i zmiażdżenia go, z przytomnością i krwią zimną oczekuje chłop zbliżenia się jego, i zadaje mu nożem z zadziwiającą pewnością cios śmiertelny. Godnemi uwagi są łowy chłopskie na łyżwach śniegowych, używanych w Rosyi, Danii, Szwecyi na wilki i niedźwiedzie. Łyżwy śniegowe są to deski 10—12 stóp długości, a użycie ich nie jest wcale rzeczą łatwą, wymaga zręczności i wprawy. Sposoby polowania i przybory łowieckie są w ogólności na północy proste i niewyrobione, a obcy łowiec dotarłszy do tych krajów wnet to spostrzeże. Pojawiają się tu wprawdzie niejakie rysy kultury, ale całość jest surowa i odstręczająca. W Norwegii szczególnie staje się niedźwiedź dla bydła włościan nader groźnym, dosięga on tam często wzrostu małych koni chłopskich. Wieśniacy łącząc się w wielką liczbę urządzają polowanie z pogonką, na których z krzykiem i od czasu do czasu strzelając, knieje przeciągają. W ten sposób spędzają często około 20 niedźwiedzi w jedno miejsce. Wtedy strzelcy okrążają ich i rozpoczyna się ogólna strzelanina. Pojedynczemu myśliwemu zawsze grozi niebezpieczeństwo, gdy strzał jest chybiony lub gdy niedźwiedź nie jest w głowę ugodzony. Opada w takim razie strzelca, który chyba po za grubym drzewem, w kordelasie lub spiesznej ucieczce może znaleść ocalenie. Mimo tego nie mało jest w Norwegii odważnych, którzy sami na niedźwiedzia wychodzą i używają pomocy chyba kilku psów. Te ostanawiają niedźwiedzia i tem dają myśliwemu pewny strzał. W Norwegii urządzane też bywają polowania rządowe. Każdy dom w całej okolicy, gdzie tylko niedźwiedź szkodę wyrządził, musi dostawić jednego człowieka. Łowy obejmują często obszar 60 mil w około i poruszają do czynności kilka tysięcy ludzi. Uczestnicy stoją w oddaleniu 50 kroków od siebie, a na dany znak ruszają. Takie łowy odbywają się w lecie, kiedy słońce na krótki tylko czas się kryje, a noc jest tak jasną, jak zamglony dzień grudniowy. Z pomocą pochodni i wrzawy spędzają zwierzynę razem, a pogonka ta trwa zwykle dwa lub trzy dni. Przy takim „skall“, strzela się oprócz niedźwiedzia do wszystkiego, padają wilki, rysie, zające, łosie.

Bogate w piękne i ujmujące obrazy są łowy na ptactwo w Europie. Polowanie na królewskiego orła, na głuszca, rycerskiego seladyna borów, stanowi przedmiot godny opisu mistrza słowa. Szczegóły takich łowów są tak urozmaicone, że nawet częściowe ich określenie wyszłoby z po za ram naszego pisma. Nadmienimy przeto tylko o jednym sposobie polowania na ptactwo w Norwegii na czarnego żurawia. W tym celu budują się w lesie budy strzelnicze, które z powodu swej szykowności i regularnie umieszczonych otworów wyglądają jak małe wały obronne. Na drzewach śród obrębu strzałowego utwierdza się manekina ptasiego z czarnej materyi. Gdy ptaki zapadną, rozpozzyna się strzelanie, a każdy myśliwy może strzelać, ile razy chce, byle nie wychodził z swego ukrycia. Strzały wcale nie płoszą ptaków, można ich więc wiele ubić, ale trzeba rozpoczynać od najniższego, wyższe obojętnie patrzą na spadające niżej.

Zimna strefa Europy sięga od północnego rąbka poprzedniej aż do bieguna. Tu już nie ma wiosny i jesieni, krótkie, ciepłe lato z jasnemi nocami następuje po długiej zimie z krótkimi dniami, które coraz bardziej ku północy ustępują długotrwającej nocy. Roślinność trwa zaledwo trzy miesiące, uprawa roli możliwą jest tylko w niewielu miejscach, kultura leśna coraz bardziej niknie, a z nią łąki. Ren zastępuje miejsce bydła rogatego i owcy, a strzelec staje się rybakiem, łowy lądowe stają się wodnemi, łowi się olbrzymie wieloryby i ptactwo skalne, łowy nadają rybakowi i wioślarzowi wybitną cechę. Tu u progów polarnych łowów, kończy się nasze zadanie. Tł. *J. Ł.*

POGADANKA MYŚLIWSKA

PRZEZ

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

II.

Nieraz już zwracałem uwagę kolegów na szkodliwy nakaz szanowania rogaczów przez trzy miesiące, począwszy od 1. Marca, dowodząc oparty na długoletniem badawczem doświadczeniu, że ta opieka zły wpływ wywiera na chów sarn i tychże mnożenie. U rogaczów nauka nie idzie w las, korzystają oni niepospolicie ze zdobytego doświadczenia, i z prawdziwym artyzmem zachowują życie przez długie lata, życie bezpłodne, a nam szkodliwe. Słusznie twierdzi hr. L. Starzeński, że ci libertyni nie płodni i że mordują sarneczki w swem zaślepieniu roznamiętnionem, dodam nadto, co zresztą wielka liczba myśliwych udowodniła, że przy rozgorączkowanych chuciach nawet starsze kozy kaleczą. Ten paragraf ustawy wytwarza eunuchów, stwarza seraj jałowy bez sułtana, kształtne i rozkoszne samiczki pod brutalnym dozorem wzdychają za macierzyńskością, wzdychają również do odepchniętych rogaczów i nader często pozostają jałowemi. W rewirach stosownych do podjazdów, w lasach ze znanymi wekslami wydeptanymi, łatwo szkodliwych rozpustników się pozbyć, w innych żyją przez długie lata nie przystępne dla śrótu. Widywałem takie rogacze przez kilka lat, wielu z nich nazywano dziaduniami, prawdopodobnie zginęły naturalną śmiercią lub też wywędrowały niepowrotnie. Podziwiać musiałem ich pamięć i wyrozumowaną ostrożność, a oburzały mnie brakiem uczucia koleżeńskiego, gdyż przy pierwszym alarmie porzucały towarzyszkę i stadko, wynosząc się zawczasu. Najczęściej wyskoczy, pobiegnie kroków kilka, stanie przez kilkanaście minut, słucha, rozważa i widocznie plan ratunku układa, wykrada się tajemniczo, lub pędem ucieka, to znowu uderza na chłopców i szereg na oślep przebija. Ktoby mniemał, że łatwo spamiętać jego manewry i że go bez wysilenia i zręczności na drugiem polowaniu zastrzelić można, tenby nie raz złudzenie stracił. Rogacz taki ma niewyczerpaną obfitość środków wydobycia się z matni i pamiętam dwa, na które polowałem zawzięcie przez lat kilka i takowych nie ubiłem, szczególniej pragnąłem dostać jednego z rogami w tył położonymi jak u koziorożca. Te swoje plany zręcznie układa i znakomicie wykonywa. Niekiedy na pierwszy hałas, z szybkością się wynosi i znika w dalekich lasach, to znowu pomału się posuwa przed chłopcami do samej linii strzelców i tam się zwraca. Widziałem w gąszczach warującego i przepuszczającego chłopców, to goniącego przez obszerne pola i łąki, a nawet wskakującego do wody i ratującego się pływaniem. Nim nie tylko wiatr kieruje, lecz rozum i pamięć, o czem się dostatecznie przekonałem i zdaje mi się, że taki rogacz pamięta szczegóły polowania dokładniej, jak my sami. Niekiedy strategia chybi i przybiegnie pod lufę i zdarza się niemal co roku strzelać tak stare rogacze, że wstyd ogarnia właściciela myśliwego, iż dopuścił ich do tej sędziwej starości w swoim rewirze. W stadzie postacią góruje, rogami się odznacza, w pośrodku sarn jak wieńcem otoczony, niekiedy wychodzi na strzelca tak kozami zakryty, że sumienie myśliwskie nie pozwala do niego strzelić i znowu uratowany. Gdy sarny wieczorem na żer wychodzą, wtedy on przez pół godziny stoi za krzakiem lub drzewem, wyczekując zupełnego bezpieczeństwa. Ileż to razy widziałem biegnącą kozę naprzód, starego rogacza o kilka kroków z tyłu, a gdy dobiegały do linii, rogacz się z kozą równał i jej postacią zupełnie się zakrywał. Czy to instynkt konserwacyi czy rozum, czy też tak często powtarzający się przypadek? Ja myślę, że znając niebezpieczeństwo linii, a bezkarne przebieganie kóz, tylokrotnie spostrzegane, on, jak to mówią, spodnicą się ratuje. Badając życie i zwyczaje sarn, zauważać musimy, że młodsze rogacze niemal zawsze z tyłu stoją lub biegną, to udowadnia despotyzm starych rogaczów, szczególnie w czasie rui. Pilnuje stada, lub też wyprowadza sobie sarnę, wszakże nie oddala się, bo on w swej zazdrości towarzyszek z oka spuścić nie chce, z kozą ugania w kółko, niby to na nią kilkakrotnie skacze i zadyszany i zmęczony staruszek wraca do stada, ona za nim kroczy, widocznie niezadowolona, a młodsze pozostają jak na cudzem weselu. Rogacz bodzie młodszych i dotkliwe razy zadaje, niekiedy spuściwszy głowę z impetem szarżuje i przewraca przeciwnika, bywa uderzenie tak silne, że rogacz skoziołkuje, w szczególności gdy uciekającego dogoni i głową pod brzuch uderzy. Zdarza się, że dwóch starców jak przy ś. p. Zuzannie, obiorą sobie sarnę i z nią uganiają, bywa to najczęściej stara doświadczona koza. niełatwa do zastraszenia, nie pochopna do wzruszeń, cierpliwa i spokojnie wyczekująca wyniku tych przestarzałych konkurów. Biegną ku sobie, bo nogi zawsze im dopisują, uderzają gdzie mogą, gniotą się głowami, w końcu splatają rogi i ciągną się wzajemnie w tył i naprzód. Po skończonej walce wysileni najczęściej się kładą, a sarna pewnie sobie mówi: nie o to chodziło. Te same zwyczaje zachowują jelenie z tą różnicą, że roznamiętnione w czasie rykowiska i rozjuszone w walce, nie zważają na młodzież korzystającą z zaślepienia starców despotycznych, o czem się nader łatwo przekonać w zwierzyńcach.

Na wiosnę wytwarzanie się rogów męczy rogacze, mniemam, że im starszy, tem większe czynić musi wysilenia, wszakże w tuszy bynajmniej nie chudy, a zatem zdatny na pieczyste, staje się ciężkim, nie ruchliwym i mniej ostrożnym, a omszony wieniec zdaleka go zdradza, jest więc łatwy do ubicia. Kilkanaście, jeżeli nie kilkadziesiąt miewałem w kuchni takich rogaczy, z mięsem twardem żylastem, nie do użycia. Reasumując moje myśli wyznaję, że nie tylko pozwoliłbym polować przez cały rok na stare rogacze, lecz straży leśnej nakazałbym strzelać, nawet premie wyznaczyłbym na tych szkodliwych rozpustników.

Przez szereg lat zamieszkiwałem okolice z obszernemi wodami i z krociami małych jeziorek, rozrzuconych po polach i łąkach, powstałych ze śniegowej wody spływającej do wklęsłości terenu. Była to ojczyzna kaczek, a na wiosnę rozkosz dla myśliwego w odstrzeliwaniu kaczorów, których bywa bez porównania więcej, jak kaczek. Przypominam sobie cyrankę, której odstrzeliłem siedm kaczorków, a krzyżowej pięć, one sobie znowu konkurentów wynalazły. Czy piechotą czy wozem lub na zasiadkę, zawsze bez

szkody można się bawić doskonale strzelaniem kaczorków. Jeżeli nie wyproszę polowania na wszystkie gatunki kaczorów, to zwracam uwagę na życie rozpustne i wyuzdane kaczora krzyżówki, który z pewnością współczucia budzić nie może u badającego jego życie i zwyczaje. Wróbel jest obrazem lubieżności i lekkomyślności, przedstawia używanie bez pracy, lecz czułym jest i wiernym mężem, a nader przykładnym i pełnym poświęcenia ojcem. Kaczor ma te same popędy spotęgowane, a do tego depcze i tłucze jaja, nawet kaczęta prześladuje, miłując wdowy nad inne kaczki. I my myśliwi mamy tę wyuzdaną rozpustę cierpieć, pomnażać ją oszczędzając życie tych szkodliwych i wyrodnych ptaków, na to nigdy mego głosu nie dałbym w przekonaniu, że kaczory jako szkodzące chowowi kaczek, powinno się strzelać przez cały rok i gdzie tylko można, a pomyłka nie możliwa, bo one się dostatecznie od kaczek różnią upierzeniem. Czy siedząc w trzcinie, czy ukryty przy jeziorku, godzinami może się bawić myśliwy widokiem tokującego kaczora. Dziobem głaszcze kaczkę, głowę do niej tuli, ogonkiem trzęsie i rusza ustawicznie, niekiedy nakształt łabędzia podniesie barkówki i skrzydłami powiększa swą postać, taki piękny i pyszny z metalicznym połyskiem na pierzu musi się podobać kaczce i zwodzić mu ją nie trudno. Pływa w około, a z tyłu popędza ku brzegowi, aby ją jak najprędzej na brzeg wysadzić. Możnaby mniemać, że to czułość, że wiernym wiecznie pozostanie, a jednak niebawem kaczuszkę ową porzuca i innej sobie szuka. Na wiosnę spostrzegamy nader często w powietrzu uganiające pojedyncze kaczory, są to wyuzdani zwodziciele i dopóki czas pierzenia nie zmusi ich do skromnego i cichego życia, to bez przerwy szukać będą kaczek i prześladować na gniazdach. Wbity pal w wodę na jeziorkach lub wśród wierzchowiny trzciny, do niego przywiązana szara, swojska kaczka, wielkie i nader przyjemne nam sprawia chwile. Niemieccy myśliwi, którzy chów zwierzyny i myśliwstwo do stopnia artyzmu podnieśli, wychowali i wyuczyli krakającą ustawicznie kaczkę (Quack-Ente), sprowadzającą oczywiście kaczory na strzał z dalekich stron. Takie polowanie nazywają: auf den Erpel. W Szlązku pruskim nie raz zabijał myśliwy na dzień po 7—8 kaczorów, tam się można przekonać o wielkiej nieproporcyonalnej ich liczbie i o rozuzdanych chuciach tych ptaków. W czasie ogórkowym polowania przysporzymy niepospolitą rozrywkę, dostarczymy pieczystego i uratujemy wiele kaczek od zbrodniczych napaści kaczorów, wnoszę zatem, aby na nich wyrok śmierci był wydany.

Przy końcu tej ramotki myśliwskiej wyznać muszę moje przykre i smutne wrażenie, jakie mnie opanowało po przeczytaniu korespondencyi z Wasylówki w tegorocznym marcowym numerze „Łowca“. Jeżeli my myśliwi, a nie strzelcy, przykładem i wiedzą nie będziemy przodowali młodszym, wtedy zaiste o postępie w łowiectwie marzyć nie można. Autor nie tylko sam strzela nietoperze, lecz drugich do tej zabawy zachęca i nawet sąsiadów zaprasza na to tępienie tych pożytecznych, a nikomu nie szkodzących zwierzątek. Jeżeli jednostka przyczynia się do psucia równowagi w przyrodzie, usuwając widoczny i znany pożytek, jest to złe, gdy zaś przykładem porywa i namową mnoży tępicieli nietoperzów, wtedy jest to gorszem i zasługuje na ostrzeżenie, aby bezwiednie inni nie poszli za tym przykładem. Z szeregu ssaków nietoperz jest jeden z najpożyteczniejszych i na równi stoi z jaskółkami i kozodojami, karmiąc się wyłącznie dokuczliwymi owadami. Kto badał nietoperze, jak uderzają w kłęby muszek i komarów, jak gonią i łowią ćmy i żuki, ten z pewnością nie strzeli do nich, przeciwnie będzie je szanował. Może być, że na Ukrainie wolno tępić pożytek widoczny w przyrodzie, w Galicyi zaś ustawa z 30. Stycznia 1875. roku przez Sejm uchwalona, w paragrafie trzecim wyraźnie zakazuje chwytać i zabijać nietoperze. To zdanie oparte na badawczej nauce i doświadczeniu, niech będzie hamulcem dla tych, którzy dla rozrywki i chwilowej przyjemności wyrządzają szkodę, niech szanują zwierzątka na pożytek człowieka stworzone.

SETTER

(Der Setter, canis sagax, anglicus, hirustus, the setter, epagneul ecossais)

napisał

Wiktor Szostak.

Udowodnioną jest rzeczą, że settery, podobnie jak pointery, pochodzą z Hiszpanii i że ich prapradziadem był hiszpański Spaniel. Późniejsze krzyżowania z rozmaitymi gatunkami psów, wyprowadziły najrozmaitsze odmiany i cechy. Każdy hodowca uważał swe psy za najszlachetniejsze, utrzymywał sposób krzyżowania w wielkiej tajemnicy, a ogłaszał tylko cechy, któremi się psy jego chowu zalecały. Najwięcej wsławili się Anglicy hodowlą psów, a setterami mianowicie: prinz Albert, Mr. Venable w Oxford, ze wszystkich najwięcej Mr. C. Laverack Broughall Cottage w Chropshire. On to, podobnie jak Mr. Egde przy pointerach, nie szczedził pracy, zabiegów i pieniędzy na to, aby settery swe doprowadzić do najwyższej sławy i doskonałości, co mu się też w zupełności udało. W całej Anglii żaden setter nie był dobry, który nie pochodził z psiarni Mr. Laveracka. Jego to psy pokonywały wszystkie inne na wystawach, przewyższając swych przeciwników swą budową i kształtem, wytrwałością i szybkością w szukaniu, doskonałym wiatrem i pewnem wystawianiem, zalecając się równą doskonałością tak na polowaniach suchych jako i mokrych.

Przy osądzaniu setterów na wystawach, Angielscy oceniacze i znawcy psów — sędziowie — trzymają się następujących zasad. Budowa i kształt psa musi dawać rękojmię siły, wytrwałości i szybkości w biegu, z którego to powodu żądają, aby klatka piersiowa była miernej szerokości, ale głęboka, żebra dobrze zasklepione, ażeby płuca jak najdogodniej rozszerzać się mogły; grzbiet prosty ale nie za długi; skład lędźwi dobrze wyrażony, żebra wypukłe i jak najbliżej bioder położone; łopatki w tył zbiegłe, tak jak u koni wyścigowych; przednie łapy proste jak kołki; stopa zaokrąglona, ścisła,

mała, podobna do kociej, pokryta zrogowaciałym naskórkiem; biodra szerokie, kąt u kości łonowej im tępszy tem lepszy, dolna kość udowa szczególnie długa, tylne łapy nie proste, kark muszkularny, silny, lekko do głowy przystający. Wymienione cechy jakoteż dobrze wyrażoną muszkulaturę, która jako sieć po całym organizmie rozłożona być winna, każdy angielski oceniacz psów,za najgłówniejszy warunek uważa; mniejszej wagi są cechy piękna. Następnie wymaga, aby pies miał nos szeroki, silnie rozwinięty, nieco do góry wzniesiony, nigdy szpiczasty i na dół pochylony, głowę małą, wąską, pomiędzy nosem i czołem ostro osadzoną, pysk długi, ale nie szpiczasty, uszy głęboko, lecz nie za daleko w tył osadzone, cienkie błoniaste, na dole nie szpiczaste ale też w nie za wielkiem zaokrągleniu zakończone, średniej długości. Najgłówniejszą cechą czystej rasy i krwi, jest ogon. Powinien być wysoko osadzony, średniej długości, zwisający, bez zadnego zgięcia, w prostej linii w przedłużeniu grzbieta noszony, nigdy w górę, owszem nieco na dół trzymany, co znamionuje pochodzenie z Spaniela. Ogon zdobi chorągiewka kiścista, ku końcowi ogona rzadsza i z krótszego włosa, który w całej chorągiewce, jak zęby w grzebieniu, rozłożonym i na dół opuszczonym być powinien. Ogona skracać pod żadnym pozorem nie wolno. Włos pokrywający settera, jest miękki, podobny do jedwabiu, dość długi, nigdy pierścionkowaty, na szczycie grzbietu falisty, a pod brzuchem i u tylnych części łap długi, zwieszony.

Na wystawie psów w roku 1859 w Newcastle i 1861 na takiejże w Birmingham rozgatunkowano settery na 3 klasy, mianowicie: *a)* settery angielskie, *b)* gordońskie i *c)* iryjskie. Settery angielskie prawie na wszystkich wystawach odniosły obok pointerów zwycięstwo. Przy ocenianiu setterów, nie uważają sędziowie na barwę, w uzyskaniu nagrody wcale im to nie przeszkadza, gdyż Anglicy zwykli mawiać, że dobry pies ma zawsze ładną skórę i barwę. Inaczej się rzecz ma z setterami gordońskimi. Settery gordońskie są prawie tej samej budowy i kształtu, co settery angielskie, tylko głowa troszkę większa, uszy dłuższe, włos grubszy i twardszy, ogon krótszy i chorągiewka mniej kiściasta.

Głównie charakteryzującą cechą w budowie organizmu gordon-settera, jest słaby i niższy zad. Na pierwszy rzut oka poznać można Gordon-settera po jego barwie, która go wyróżnia od wszystkich innych setterów.

Każdy Gordon-setter winien być barwy ciemno-czarnej z niebieskim połyskiem, podpalony tak, jak jamniki i owczarki szląskie. Oznaki białe bądź na piersiach, bądź na głowie, uważane za gruby błąd przy ocenie. Są to śliczne psy i dzisiaj bardzo modne. Liczni pisarze niemieccy utrzymują, ze Gordonsettery pochodzą z psów owczarskich. Jestto mniemanie nie uzasadnione, gdyż Markham już w roku 1655 w dziele swojem: *„Die ganze Kunst der Federwildjagd zu Wasser und zu Lande“* wspomina o wyżłach podobnej barwy i uważa je za najlepsze i najwytrwalsze. Do dzisiejszej sławy dobrowadził psy te Herzog von Gordon, który je w Szkocyi w najlepszym gatunku hodował i od którego też swą nazwę uzyskały. Kto może pochodzenie psów swych udowodnić, że takowe są z psiarń herzoga Old Bang, „Old Don“, Cokes Pan albo Fan w Dunrobin-Castle albo M. Pearce's Argyll II „Ruby etc. wzięte, ten może być spokojnym o czystość ich rasy i doskonałość na polowaniach. Settery Gordońskie nie biorą tak szerokiego pola jak angielskie, szukają wolniej i z większą rozwagą, są obdarzone jak najsilniejszym wiatrem, w dresurze pojmują szybciej i lepiej niż psy innych gatunków. Jako wzór czystej krwi tej szlachetnej rasy wystawiony był w Wrocławiu pies, Sam zwany, dr. Metzdorfa, podobny okaz jest bardzo rzadki. Mam sam Gordon-settera, który wszelkie cechy kwi i rasy czystej posiada; jestto śliczny okaz, zalecający się dobrymi przymiotami.

Settery iryjskie (irische Setter) mają głowy większe niż settery angielskie, ogony krótsze od setterów gordońskich i mniej włosem długim pokryte, zresztą co do kształtu i budowy podobne do setterów angielskich. Główną wartość tym psom nadaje ich barwa, która też zastąpić musi inne przymioty jakich psy one nie posiadają. Barwa ich jest gorąco ciemno czerwona i nie powinna ani nadto w żółty, ani w brunatny kolor przechodzić. Gdyby się włos czarny, chociaż tylko w przymieszce okazywał, jużby był tamą w uzyskaniu nagrody. Prawdziwy setter iryjski przedstawia się na słońcu, jakby był złotem oblany; wygląda bardzo ślicznie. Przy ocenianiu uważane bywają białe oznaki za błąd, maleńka gwiazdka na czole lub centeczka na piersiach, ujdzie jeszcze bezkarnie. Psy te są więcej amatorskie i na Field-trials nigdy i nigdzie z powodów innych wynagradzane nie były. Na odbytym w roku 1876 Field-trialu w Radewell przy Halli, pierwszym niemieckim, były też i settery iryjskie, brały udział w wyścigach i polowaniu, ale nagrody nie uzyskały. Są one na polowaniu bardzo wytrwałe, ale uparte jak osły i to czego się nauczyły, wkrótce zapominają. Przed każdem rozpoczęciem się polowań, trzeba im dresurę powtarzać.

Oprócz wymienionych gatunków, znają niemcy jeszcze settery szląskie, settery ruskie i irlandzkie. Settera ruskiego podaje Baron Nolde w dziele swojem „Gallerie edler Hunde-Racen“ z jego fotografją i szerokim opisem przez Th Heringa, dowodząc, iż ruski setter pochodzi z pudla i zdatnym jest tylko do polowania wodnego. Ja jednak sam używałem go do polowania na kuropatwy, stawał nie źle, ale w szukaniu i chodzeniu jest ociążałym.

Z wymienionych gatunków najwięcej się zalecają tak do pola, jak do wody settery angielskie, a jeszcze bardziej gordońskie. Z własnego doświadczenia wiem, że psy te odznaczają się silnie rozwiniętym wiatrem i łatwem pojmowaniem dresury, co jest bardzo ważnem dla tych, którzy wiele psów dresują. Przy dresurze a jeszcze więcej przy układaniu w polu, wielce zimną krew zachować i z psami tymi jak najłagodniej obchodzić się trzeba. Błędy w polu najczęściej nie ze złej woli pochodzą. W rozprawie o dresurze i układaniu psów obszerniej o tem pomówię.

Myślę, że nie od rzeczy będzie, gdy wspomnę o wyżłach wynagrodzonych na tegorocznej wystawie w Warszawie. Z pomiędzy wszystkich wystawionych wyżłów zasługiwały zdaniem mojem na jakieś wynagrodzenie wspomniane dwa pointery t j. P. Krzyżanowskiego i Niwerowskiego. Psy te miały dużo cech czystej rasy, czego wszystkim innym właśnie brakło. Settery p. Kułakowskiego bardzo słabej budowy, tylko miękkim włosem do setterów się zbliżały; miały pyski kurlandzkie, uszy za krótkie i za wysoko osadzone, łapy za szerokie. Gordon-setter p. Restorfa ma łeb za szeroki, pysk więcej pointerski, zad i ogon kurlandzki; podobny do gordon-settera tylko tem, że podpalony. Leeda — rasą irlandzką zaszczycana, własność p. Restorfa, posiada dużo krwi settera angielskiego, ale pysk za krótki, ogon za gruby i za długi, pochodzi niezawodnie z krzyżowania settera angielskiego z pointerem, tylko ogon więcej przemawia za kurlandzką rasą.

Byłoby dobrze, gdyby więcej wyżłów na wystawie pokazywano i o polskiej rasie niezapomniano, bo i ona ma wielkie zalety. Miałem kiedyś polskiej rasy wyżliczkę, która w niczem ani pointerom ani setterom nie ustępowała.

Z RUMUNII.

„Szczęśliwy kraj, gdzie winne grono dojrzewa“, mówią poeci i niepoeci, bacząc bardziej na realny pożytek, jak na piękność przyrody. Taką szczęśliwą krainą jest dawniejsza Mołdo-Wołoszczyzna, dziś pompatycznie królestwem rumuńskiem, Romanią zwana, od nas szczytnemi Karpatami oddzielona. Nie chcę w to wchodzić, jak nowocześni historycy udowadniają tę nazwę kraju, którego mieszkańcy nie mają w koło siebie pobratymców romańskiego pochodzenia. Starożytni dziejopisarze twierdzą, że była to osada wygnańców i skazańców rzymskich. Szczęśliwy to kraj — ta Romanija! Szeroki jej opis ciśnie się pod pióro, ale ściśle określone wymagania „Łowca“ nie dozwalają puścić wodze skrzydłom fantazyi i wiedzy, więc zmuszony jestem ograniczyć się łowiectwem, a i w tym względzie tylko zarysy jego dać mogę.

Rumunia leży w nader korzystnem geograficznem położeniu, od północy i zachodu osłonięta łańcuchem Karpat, daje więc przyjazne warunki bytu tak dla ludzi jakoteż zwierząt dzikich i domowych. Jakkolwiek u granic z Bukowiną i Siedmiogrodem jest mocno wzgórzystą a raczej wybitnie górską, to jednak klimat nawet w owych stronach mniej jest ostrym. Cała Rumunija z wyjątkiem stepów besarabskich i niektórych okolic przyrzecznych jest krajem pagórkowatym, szczytne grzbiety Karpat stają się ku południowi coraz mniej stromymi, coraz mniej ostre ich zarysy, są wreszcie zupełnie bezleśnymi. Rumunija od Karpat począwszy, aż ku Dunajowi, przedstawia się upłazowato. W tej mierze wielce jest podobną do Galicyi, która leżąc u północy Karpat, upłazowato stacza się aż ku Żółkwi, gdzie się poczynają owe światowe równiny, ciągnące się aż ku wodom Bałtyckiego morza. Gdy w Galicyi dominującymi wiatrami są północno-zachodnie, a wyjątkowo tylko w Marcu i Kwietniu wschodnie; to po południowej stronie Karpat panującym wiatrem jest wschodni, południowo-wschodni, a czasem tylko południowy, które jakkolwiek ochłodzone śródziemnem i czarnem morzem, sprowadzają tropikowe upały i długotrwałe susze. Znane też są w Rumunii takie susze z wszelkiemi następstwami nieurodzaju i pomoru zwierząt domowych i łownych. Opowiadano mi, że przed kilkunastu laty straszna panowała posucha. Urodzaje chybiły, nawet wytrwałej kukurudzy, rzeki większe wyschły do tego stopnia, że błotniste brzegi rzeki Dembowicy, nad którą leży stolica Rumunii Bukareszt, lubo słynne z trzęsawisk, wyschły zupełnie, wody zaś tej rzeki tak spadły, że ptactwo wodne i błotne w wilgotnem korycie jej szukały pożywienia. Czworonożna zwierzyna, jak n. p. sarny, których w bezleśnej części kraju, dawniej Wołoszczyzną zwanej, w ogóle bardzo mało, wyniosły się w górską Mołdawiję, przyległą Karpatom Siedmiogrodzkim i Bukowińskim. Zające do szczętu prawie wyginęły podczas owej posuchy na chorobę śledziony, wynikającą zwykle z powodu braku wody. Choroba ta jest niemal stałą w sąsiedniej bezleśnej i bezwodnej Bessarabii. Rumunija w części Wołoszczyzny prawie bezleśna, więc zwierzynę posiada niemal tylko polną, mianowicie zające, lisy, kuropatwy, błotne i wodne ptactwo, stepowe dropie, znajdujące pielesze swoje w nieprzejrzanych łanach kukurudzy, olbrzymio się rozrastającej W niewielkich laskach porozrzucanych przebywają czasem stadka sarn, lecz padają ofiarą złej gospodarki łowieckiej. Wilki jak bandy cyganów, gromadnie przeciągają kraj cały od Karpat aż do stepowej Bessarabii, znaczne wyrządzając szkody w sarnach i trzodach. Wilki rumuńskie mniejsze są i mają barwę włosa siwawą. Są to prawdziwe stepowce zwane na Ukrainie „świniarzami“. Lubo mniejsze są nadzwyczajnie zuchwałe i rącze. Często pogubią charty, gdy one nie są bardzo rącze i biercze, a jeszcze częściej sforsują je. Łany wysokiej kukurudzy dają im wyborne schronienie i legowiska szczennym waderom. Nierzadko się zdarza, że robotnicy podczas sapania czyli okopywania kukurudzy znajdują gniazda z wilczętami i pobiją je lub zabiorą żywcem. W tym roku wydarzył się dość smutny wypadek przy wybieraniu gniazda wilczego. Kilkunastu ludzi znalazłszy przy sapaniu kukurudzy gniazdo, złożone z czterech wilcząt zabrało je umieściwszy w worze. Wnet usłyszeli w dali wycie, jak się okazało, wadery niosącej szczenięto na żer całą kozę. Robotnicy uzbrojeni w motyki, zaczaili się w pobliżu gniazda chcąc ubić wilczycę W istocie zbliżyła się ona do gniazda, a widząc szczenięta zawiązane w worze, poczęła go targać i gryźć. Ludzie wyskoczywszy z ukrycia odstraszyli waderę, która pomknęła szybko w gąszcz kukurudzianą. Aby przeszkodzić wilczycy w uwolnieniu szczeniąt, postawili przy worze jednego z parobków na straży, a sami zajęli się robotą w kukurudzy. Może po godzinie usłyszeli gwałtowny krzyk parobka, a gdy dobiegli, straszny przedstawił się im widok. Parobek tarzał się po ziemi, szarpany przez rozwścieklonę wilczycę, która na widok nadbiegających ludzi umknęła. Parobek w kilka dni umarł tak srodze pokaleczony, że do samego zgonu nie odzyskał przytomności.

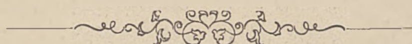
Nie ma kraju w Europie, w którymby taka panowała swoboda pod względem łowiectwa, jak w Rumunii. Ustawy nawet na papierze nie istnieją, każdemu wolno posiadać broń i polować, gdzie i kiedy się podoba. Mimo całej tej swobody niemasz pod słońcem gorszych myśliwych, z wyjątkiem z chartami, i lichszych strzelców, jak tutaj. Zająca, kuropatwę, kaczkę, nawet bekasa strzela rumuński myśliwy zwykle siedzące lub w kotlinie. Do dropi strzelają z wozu, ciągnionego wołami, pokrytego słomą. Wewnątrz tej poruszającej się kopy ukryci myśliwi, sztucznie lawirując, podjeżdżają pod siedzące stado ostrożnych dropi i razem palą z rusznic, nabitych lotkami. Takie polowanie rzadko się udaje, dropie bliżej jak na 150 kroków podjechać się nie dadzą, a z takiego oddalenia strzał niepewny. W ogóle do zwierzyny w locie i w biegu strzelają tylko cudzoziemcy, których tu różnych narodowości pełno. Trafne nasze strzały podziwia lud tutejszy. „Waj Domini“, wołał najęty przezemnie do dźwigania ubitych bekasów chłopak Wasili, gdy każdy niemal podrywający się bekas lub dubelt padał z mej lankastrówki. Z małym wyjątkiem poluje tak lud jak inteligencya rumuńska znanym u nas chłopskim kłusowniczym obyczajem, niezmiernie cierpliwie. Dwie godziny i dłużej wyczekuje myśliwy rumuński w szuwarach lub trzcinie zbliżenia się, a bardziej jeszcze skupienia się kaczek, poczem dopiero strzela. Dziwnym a zarazem śmiesznym sposobem polują na kuropatwy. Nie umiejąc łowić ich w różnorodne sieci, rozjazd, drygubice, płotki i t. p., starają się, gdy upadną śniegi, podejść je ze strzelbą żerujące na zedmach. Przed trzema laty spadły

były wielkie śniegi. Utkawszy sobie sam rozjazd, ruszyłem w celu połowu kuropatw w dalsze okolice Gałacu. Za wsią F. dojrzawszy przez perspektywę na wzgórku żerujące stadko kuropatw na oziminie, w której na kilku miejscach zdęty był śnieg, ruszam tam z zamiarem rozpięcia rozjazdu. Właśnie począłem może o 200 kroków od dużego stadka nastawiać samołówkę, gdy w tem w kilku miejscach naraz wynurzają się jakieś ludzkie postacie, ku mnie a raczej ku stadku kuropatw zdążające. Wiedząc, że w Rumunii niema zwyczaju hamowania złotej wolności kłusowniczej, nie mogłem zrozumieć, czego ci ludzie odemnie chcieć mogą. Nastawiwszy samołówkę i nasypawszy przynęty, począłem naganiać stadko, które też wkrótce dopadłszy „sznurka“ (miejsca, które rzadko posypuje się pszenicznym pośladem, zmięszanym z plewami) prosto pociekły pod rozjazd całem stadkiem, złożonem z 28 sztuk. Zajęty pakowaniem do worka żywcem ułowionych kuropatw, niezważałem, że zbliżający się ku mnie ludzie, uzbrojeni w strzelby, podkradali się właśnie pod owe kuropatwy, które ja tak zręcznie z przed nosa im pochwyciłem. „Waj domini, waj domini! powtarzali często, kręcąc głowami na znak podziwu mojego sposobu chwytania naraz tylu kuropatw. Rumuni dostrzegłszy zdala stadka kuropatw, podkradają się pod nie z różnych stron, aby strzelić do siedzących. W lot nigdy nie strzelają, więc gdy stadko przed strzałem się poderwie, to na nowo zaczyna się podchodzenie aż do skutku z cierpliwością godną podziwienia. Przepiórek, których tu wiele, nikt nie strzala, ani łowi, chwytają je psy, a najsprytniej charty, gdy oblane, z przed konia się podrywające. Jak lichymi strzelcami są Rumuni, jak wielką u nich ilość lotnej zwierzyny, niech służy za dowód, że przybywszy do Rumunii w r. 1879, niemal przez rok cały nie mając zajęcia, któreby mnie i moją rodzinę wyżywić mogło, zebrałem za samą ubitą i ułowioną zwierzynę lotną 2000 franków. Kto nie był nigdy u płaskobrzeżnego Dunaju pod Gałacem, ten nie uwierzy, ile tam tysięcy dzikich kaczek, gęsi, żurawi, kulonów, batalionów, bekasów i t. p. wodnego ptactwa roi się po oparzeliskach lub jeziorkach śródbłotnych. Wówczas dla mnie myśliwego z konieczności zbawieniem była mnogość tej zwierzyny, dziś Bogu chwała jest tylko zaspokojeniem namiętności myśliwskiej.

Polowania na zwierzynę czworonożną w okolicach niemal bezleśnych rzadko bywają urządzane, częściej w Karpatach przez bogatszych bojarów lub magnatów na niedźwiedzie, jelenie lub kozice, które dość gęsto przebywają w Karpatach na granicy Bukowiny. Ale za to mistrzami są Rumuni w polowaniu z chartami. Charty trzyma tu każdy, pan, ksiądz, chłop, mieszczanin, nawet za bandami cyganów wloką się charty. Jakie to są charty, jakich kształtów, przymiotów, dowie się czytelnik z książki o „charcie“ p. Ubysza, wydanej nakładem gal. Tow. łowieckiego. Dodam tylko, że prócz wielu przymiotów tej rasy chartów, w owej książce przytoczonych, posiadają dobry wiatr. Poszczuty zając lub lis, skoro skrył się w kukurudzy, która tu miejscami po sprzątnięciu „pałek“ czyli kaczanów z ziarnem, całymi łanami do samej wiosny na pniu pozostaje, częściowo tylko dla karmy bydła wycinanej, skoro tedy zwierz, nawet wilk, skrył się w tym gąszczu, a charty stracą go z oka, to przemieniają się w ogary, milczkiem wprawdzie lecz wytrwale buszują po tym kukurudzianym lesie i na pewne wytropią i wezmą zwierza. Charty wołoskie mniej są rącze, jak ukraińskie, polskie lub angielskie, ale nader wytrwałe. Zwierz bywa przez nie bardziej sforsowany jak wzięty po kilku obrotach; w tym względzie dobry wiatr najlepsze czyni im usługi. Charty wołoskie w ogóle są biercze, cięte i silne, mimo niezbyt wielkiego wzrostu. Służą one do wszystkiego, łapią zające, lisy i wilki; jakoteż przepiórki i chruściele „na poderwanego“; strzegą zagrody rzucając się na obcych i kąsając bez głosu, bo rzadko kiedy chrypliwie i nie chętnie szczekają. Pewien chłop posiada dwoje chartów, które w przeciągu pięciu lat udusić miały około 30 wilków. Charty te dużych rozmiarów, rozłożyste, ponurego wejrzenia, podobniejsze raczej do kundysów, ale chwytają zające nawet na długiem polu. Wiarogodni ludzie zaręczali mi, że psów tych dwoje z największą passyą oddają się łapaniu wilków. Same nawet bez właściciela lub domowych wyruszają na nie w pola pomiędzy kukurudze. Skoro się gospodarz opatrzy, że ich niema przez całą dobę w porze, gdy w kukurudzy zawiązały się już kaczany, domyśla się, że poszły wraz z innymi psami na zjadanie tych przysmaków, czem wielką czynią szkodę, i że tam pewnie udusiły wilka, siada więc na konia i często znajduje je istotnie przy uduszonym lepurze. Ja posiadam dwie smycze chartów, któremi udało mi się uszczuć cztery wilki. Pies „Chapaj“ duży, nadzwyczaj silny i cięty pełni na wilczem polowaniu obowiązki kata. Gdy reszta psów, a choćby tylko jeden z nich skubie wilczyska za szarawary, to Chapaj obcesem chwyta go za gardło i udusi nie doznając nawet zbyt silnego oporu. W jesieni r. 1884 wyjechałem na zające wraz z dwoma towarzyszami. Psów miałem tylko dwoje, bo suka miała szczenięta, a Chapaj oberwawszy po grzbiecie w czasie zalotów był chory. Markotni wracaliśmy z niefortunnych łowów, na których nawet omyka nie widzieliśmy. Wtem po za wzgórzem spostrzegamy rumuńskich wieśniaków goniących na koniach cwałem, wrzeszczących „lupur, lupur“ (wilk). Wnet dobiegliśmy do nich na naszych dziarskich koniach. W istocie o jakie 500 kroków pomykało duże wilczysko, więc spuszczam charty ze smyczy i huź. Poszły psy i znikły w łanie kukurudzy, my pospieszamy w stronę, w którą pomknęły. Szukanie nasze i gon psów trwały około godziny, wreszcie dopadliśmy miejsca, gdzie charty moje, niewielkie wzrostem, trzymały wilka w miejscu, szarpiąc go tak zajadle, że nie zdołał kroku postąpić. Mierząc z konia ugodziłem go z rewolweru w samą głowę i padł na miejscu. Przytoczone zdarzenie nie jest tu rzeczą nadzwyczajną, przywiodłem je jedynie dla stwierdzenia zaciętości, odwagi i wytrwałości chartów rasy wołoskiej. Były to charty nieduże, młode, bo w drugiem polu, a tak obcesem jakby ukraińskie wilczarze brały się do wilka. Chart rasy angielskiej nawet bardzo rosły i silny, nie posiada tej odwagi.

Ustaw łowieckich rządowych ani zwyczajowych nie ma w tem świeżo upieczonem królestwie. Z wyjątkiem lisa, którego w letnich miesiącach z powodu złej skórki oszczędzają, wszelka zwierzyna czworonożna i skrzydlata, bywa przez cały rok bezwzględnie tępioną. Dziwią się Rumuni, nawet istotnie inteligentni, że my przestrzegamy ustawy łowieckie, już przez samą przyrodę wskazane. W istocie piękny to, ale pod względem łowieckim dziki jeszcze kraj.

Charzewski.



*

KORESPONDENCYE.

Ischl w Sierpniu 1885.

Jestem od paru tygodni w Ischl, gdzie mając wiele wolnego czasu pragnę w „Łowcu“ jako wierny jego prenumerator pogawędzić o ostatnich moich polowaniach na Litwie i rozerwać myśl tak miłemi dla każdego myśliwego wspomnieniami. Żałuję szczerze tych, którzy nie posiadają zamiłowania do tego najszlachetniejszego sportu, ileż to bowiem chwil rozkoszy doznaje myśliwy w ciągu swego żywota, czy to służąc w kawaleryi polując chartami, czy służąc w piechocie polując na ptaki“ jak mówi Mickiewicz. Co do mnie przyjąłem służbę w piechocie i pełnię ją od chwili, kiedy mi siły pozwoliły dźwigać dwururkę na ramieniu. W jesieni i z początkiem zimy polowałem w Królestwie Polskiem i w Galicyi z dosyć wielkiem powodzeniem, chęć jednak spotkania się z grubszym zwierzem stawała się coraz gwałtowniejszą, to też w Styczniu, mając parę dni od zajęć wolnych, postanowiłem wybrać się na Litwę w gubernię Grodzieńską do dóbr mego teścia Wandalina Pusłowskiego Kossowa. Rezydencya sama nazywa się Mereczowczyzną, jest to miejsce historyczne, miejsce urodzenia Kościuszki i dom, w którym wielki ten patryjota ujrzał światło dzienne, znajduje się jeszcze w parku zamkowym w jak najlepszym stanie, dzięki starannej opiece tak poprzednich jak i obecnych właścicieli. Państwo Kosowskie, położone w powiecie Słonimskim, obejmuje obszaru ziemi 30,000 dziesięcin to jest około 60,000 morgów austryackich, z których $^3/_4$ pokryte jest lasami. Lasy te przeważnie sosnowe i jodłowe łączą się pośrednio z puszczą Białowieską, tworząc prawdziwe miejsce obronne dla grubego zwierza. Łosi, dzików i wilków jest tu sporo, a nawet od czasu do czasu poważny żubr odwidza te strony. Co do głuszców jest tu ich taka ilość, że nie wiele miejscowości w Polsce pochwalić się może taką obfitością. Jarząbków zaś cietrzewi i błotnego ptactwa latem jest tu po prostu przepaść. Dziwnie natura tu sprzyja zwierzynie! Wszędzie woda bieżąca w lesie, łąk, bagien i zarośli gęstych, gdzie rzadko noga ludzka przystępuje obok wyniosłego i suchego lasu, jest tu dosyć w każdym prawie rewirze. Grunt pod lasem bardzo dobry, mnóstwo rozmaitych traw, jagód i żórawin, ulubionej strawy głuszców pełno, słowem niczego tu nie brakowałoby zwierzynie, gdyby jej ludzie nie wypowiedzieli zawziętej wojny. Ach! żeby tu przestrzegano trochę przepisów łowieckich i dbano o zwierzostan, jaki byłby to raj dla myśliwego. Niestety sam właściciel nie jest myśliwym w zupełnem znaczeniu tego słowa. Każdy oficyalista a nawet każdy gajowy ma strzelbę, a leśników tu jest przeszło 30-tu, rozumie się każdy z nich poluje na swoją rękę. Niema n. p. Świąt Wielkanocnych, żeby głuszce nie figurowały nie tylko na święconem pana oficyalisty ale i na skromnym stole leśnika. Ponieważ wyższe władze znajdują się ztąd daleko, przeto wszyscy tu zależni od małych urzędników, którym za zrobioną grzeczność opłacać się trzeba pozwoleniem polowania w kniei. Ciągle więc zwierzyna jest tu legalnie tępioną i płoszoną, nie mówiąc o kłusownikach, których jak wszędzie jest dużo — a pomimo tego zwierzyna uparcie się trzyma miejscowości tutejszej. Przybywszy wieczorem do Mereczowczyzny, objawiłem nadleśnemu chęć zapolowania dnia następnego, chociaż wszystko zdawało się przemawiać, że wyprawa nasza spełznie na niczem, śniegu bowiem zupełnie nie było, a na domiar nieszczęścia gęsty deszcz puścił się z samego rana. Wiara jednak w łaskawe względy bogini Diany nie opuszczała mnie, to też widocznie za tę w niej ufność zostałem sowicie wynagrodzony, jak się to później okazało. Przyjechawszy do leśniczówki, zastałem zgromadzoną całą obławę i wszystkich gajowych, lecz dokąd mieliśmy się udać i jaki ostęp zająć, kiedy śniegu nie było i nikt wiedzieć nie mógł, gdzie się jaka zwierzyna znajdować może. Po odbytej naradzie stanęło na tem, że rewir, w którym przed kilku dniami widziano łosie, spolujemy. Wiadomo, że łoś jeśli nie jest spłoszony, chętnie zwykle przebywa po parę tygodni w jednym obrębie. Obławę więc rozstawiono i każdy z nas zajął swoje stanowisko. Cierpliwość strzelca wystawioną tu jest na próbę, mioty zabierają ogromne, około 2000 morgów obstawiają chłopem i zanim wszystko gotowe, wypadnie nieraz po parę godzin stać spokojnie na miejscu. Rola obławy ogranicza się tu na ciągłem krzyczeniu i staniu na miejscu, w środok zaś matni wpuszczają psy z podjeżdżaczem i wtedy łowy na dobre się rozpoczynają. Ostępów więcej się nie bierze, jak jeden na dzień zwłaszcza w dzień zimowy. Drogi są tu bardzo złe, odległości ogromne, każdy więc woli zawczasu do domu powrócić. Stałem z półtory godziny na mojem stanowisku z natężonym słuchem w stronę obławy, lecz oprócz posępnego szumu drzew i gwałtownego bicia serca nic więcej nie słyszałem. Nareszcie podano hasło, że wszystko gotowe, obława poczęła krzyczeć i polowanie tak upragnione rozpoczęło się. Wkrótce doszło do uszów moich szczekanie psa, następnie drugi mu zawtórzył, aż w końcu cała psia orkiestra jednym zagrała chórem. Dreszcz mnie przebiegł z radości, nie ulegało wątpliwości, że gruby zwierz znajdował się w kniei, skoro psy tak ujadały. Rzeczywiście łosie były, trafiono na rudel z 6 sztuk złożony, rudel ten rozdzielił się na dwie części, 4 sztuki na przebój przedarły się przez obławę, a pozostałe 2 sztuki wyparte zostały siłą na linię strzelców. Ponieważ gajowym nie wolno było strzelać, przeto łosie wciąż przez nich odpędzane, obrały w końcu kierunek równoległy do drogi, nad którą stałem i w pełnym kłusie zbliżały się do mnie. Gwar był nie do opisania, krzyk ludzi, szczekanie psów i tentent zwierza wszystko mięszało się razem. Nagle obie sztuki wypadają z gęstwiny na małą gołaźń, odległą odemnie o 80 kroków i przesuwają mi się w całym majestacie. Strzał łatwy, ale ze względu że miałem ogromną emocyę, mógł być wątpliwym, zebrawszy jednak całą moją zimną krew przyłożyłem kolbę do ramienia i dałem ognia do obudwóch. Pierwszy łoś trafiony kulą w komorę legł na miejscu, drugi zaś trafiony nieco wyżej od pierwszego uszedł ze 200 kroków i tam położył się, gdzie też kordelasem dałem mu *le coup de grâce*. Upojony byłem powodzeniem, pierwsze to były moje łosie i do tego tak piękny *coup-double*. W tryumfie powróciliśmy do domu, gdzie resztę wieczora, jak się domyśleć łatwo, przepędziłem w nader wesołem usposobieniu. W ciągu dwóch następnych dni polowaliśmy

również na czarnej stopie, ale nie z takiem już powodzeniem, jak pierwszego dnia. Łosi jednak i dzików mieliśmy w każdym ostępie, co świadczy, że stosunkowo zwierza grubego jest tu dosyć. Do strzału w miocie nie doszedłem pomimo wszelkiego starania ze strony straży leśnej; łosie i dziki cudem zawsze jakimś wydzierały się bez strzału z matni. Nadmienić muszę, że w ostatnim ostępie widziałem własnemi oczami ogromnego żubra, pędzonego przez psy. Niestety odległość była zbyt wielką, żebym się mógł choć złożyć. Zwierz ten wspaniały wypadł na linię myśliwych, lecz że żaden ze strzelców nie śmiał za cyngiel pociągnąć, przeszedł bezkarnie do drugiego miotu, ścigany długo przez psy... i myśl moją. Dzień się miał już ku schyłkowi, nastąpiła godzina odjazdu, wsiedliśmy więc do bryczek i ruszyliśmy do domu w bardzo smętnem usposobieniu. Widocznie myśl, że to ostatni dzień łowów minął, a także i to, że ten piękny żubr przesunął nam się jak cień bez strzału, jakby na urągowisko, wpływało na nasz humor. Jechaliśmy tedy lasem zamyśleni, gdy raptem furman konie zatrzymuje i woła do mnie: „niechaj panoczek strylajut!“ Spoglądam w prawo i spostrzegam 5 sztuk łosi stojących spokojnie w bagnach kępiastych o jakich 100 mniej więcej kroków od nas odległych. Poruszeni tym wypadkiem zrazu nie wiedzieliśmy co czynić, zwłaszcza, że sztućce były w futerałach, a my szczelnie opakowani futrami. Strzelec mój jednak nie tracąc czasu wydobywa strzelbę, składa ją i nabija, podczas gdy łosie wciąż z zajęciem przypatrują się tej scenie, dopiero gdym wziął broń w rękę i zrzuciłem futro z siebie, cały ten rudel ruszył się zwolna w głąb lasu. Czasu miałem dosyć, żeby wybrać największą sztukę i strzelić do niej dwa razy. Strzelony łoś zaraz się odłączył od gromady, uszedł ze sto kroków, stanął, zachwiał się na nogach i runął w oczach naszych w bagno. Tak świetnie zakończone polowanie powróciło nam naturalnie wesołość i tęsknota za żubrem mniej dotkliwiej nam się czuć dawała. Przyznam się, że z żalem opuszczałem te urocze strony obiecując sobie na pociechę, że powrócę do nich z wiosną na toki głuszców, które tu są prześliczne. Obietnicy danej sobie dotrzymałem i na święta Wielkiej nocy na parę dni tu przybyłem, ale niestety dla braku czasu trzy razy tylko wybrać się mogłem na toki. Kto nie zna tego polowania, ten pojęcia mieć nie może, ile ono zawiera w sobie rozkoszy i nie wytłumaczonego czaru! Pomijając już wzgląd, że ptak ten imponuje wielkością swoją i cudownem ubarwieniem piór swoich, ileż to jest poezyi w naturze, gdy w nocy z bronią w ręku oczekujemy jego pieśni... tej pieśni miłości zarówno miłej i poetycznej dla nas czatujących myśliwych jak i dla jego bogdanki. Ileż to w naturze wdzięku, gdy brzask się ukaże i zbudzi ze snu ten różnorodny świat ptasi. Zewsząd słychać ich hymn radości na widok wschodzącego słońca! Punkt nasz zborny był w leśniczówce, tam oczekiwaliśmy raportów gajowych, którzy około 1szej w nocy przybywali już zwykle z wiadomościami. Ażeby mieć pojęcie, jak tu jest dużo głuszców, powiem, że nie było wypadku, ażeby każdy z gajowych nie miał 5 lub 6 kogutów obsadzonych w swoim rewirze. W czasie krótkiego mego tu pobytu podchodziłem 5 głuszców: trzy zabiłem, czwartego spłoszyłem, a piątego z powodu zbyt wielkiej ciemności widocznie chybiłem, gdyż po strzale zerwał się z ogromnym łoskotem i zniknął bez wieści. Od tego czasu strzelba zawieszona na kołku, wyżeł poczciwy przyjaciel drzemie w moim pokoju pod wypchanemi myśliwskiemi trofeami, a serce... kołacze się monotonnem tentnem marząc o przyszłej wyprawie. *Kazimirz hr. Krasiński.*

Lwów, Wrzesień.

Nim z prowincyi podobne nadejdą korespondencye, donoszę sz. Redakcyi, że tegoroczny ciąg dubeltów w Lipcu był wczesnym i obfitym. W okolicach Lwowa na błotach w Rzęśnie, Wrocowie, Malczycach, Dublanach i Grzędzie zjawiły się około 15go. Razem z dubeltami nadciągnęły liczne stadka batalionów czyli tak zwanych babek, podczas letniego, zupełnie gładkiego upierzenia bez kołnierzów. Goście to dość rzadcy w naszych stronach wskazują obfity wylęg ptactwa błotnego w ogóle. Kszyków było jeszcze nie wiele, przeważnie młodzieży miejscowej, a liczne stada gęsi, kaczek, kulików i czajek zapowiadały rok słotny. Było tedy szerokie pole popisu dla braci myśliwych, każdy też zanotował zapewne wiekszą ilość sztuk ubitych w pierwszym sezonie. Ciekawe doświadczenie zrobiłem z batalionami, zwierzyną dosyć płochą i trudną do strzału, że one przy wielkim upale leniwieją i dosiadują tak twardo, że psu mojemu udało się złapać jednego i to nie młodzika. Po strzale do siedzącej sztuki reszta stadka, rozprószonego po skoszonym moczarze, nie odlatywały wcale, uchodziły pieszo, tylko pies aportujący płoszył je, ale zapadały znowu niedaleko i tak padał jeden po drugim, dokąd starczyło nabojów. Polowanie takie przypomina prawie te dawne czasy, kiedy to i zwierzyna nasza była mniej przezorną i jak pisze Ostroróg w swoim „Myśliwstwie“ wystarczało wyjść tylko „na poletek, kędy się sokoły przechadzały, nastawić siatkę i wnetki wpadał ci w nią sokoł“. Całkiem inaczej dziś z batalionami, ale w dzień posępny lub chłodny, wtedy spłoszone stadko odlatuje daleko i jest bardzo ostrożne. Przelot ich trwa u nas króciej niż dubeltów, w jesieni są już rzadkie, a na wiosnę tylko słychać ich świsty przy walkach, staczanych na roztopach moczarów. Wtedy strzał udaje się wyjątkowo z ukrycia lub w lot i wtedy to dostaje się owe pyszne okazy różnokolorowe z tarczą na szyi i odstającymi wspaniale zausznicami.

Co do widoków polowania jesiennego na drugie dubelty t. z. michałki i kszyki, jest pewna nadzieja obfitego plonu. Ceny targowe we Lwowie są nadzwyczaj niskie, na pociechę smakoszów. Sposobności dalszej do koncertowych popisów nie braknie wirtuozom tej wedle słów Dietzla starego wyższej szkoły myśliwskiej. Przy tem polowaniu kwestya ładunków i armatury w ogóle, jest o tyle ważniejsza, o ile własne tylko siły, wytrwałość i wprawa stanowią zaletę myśliwego, a że wytrwałość zależy od dobrego przyrządzenia w rynsztunku nie ulega wątpliwości. Wyższości nabojów metalowych nad papierowymi doświadczyłem, zaskoczony ulewą, bo byłem, mimo przemoknięcia zupełnego, suchym w całem znaczeniu strzelcem i żywo przypomniały mi się czasy, kiedy to po ulewnym deszczu zrobiła się w torbie mojej czarna masa tekturowa z ładunków próżnych, składanych razem z niewypalonymi nabojami, reszta wtedy amunicyi dostawała nabrzękłości skórczeń i garbów bardzo nieładnych. Kwestyę tę uważam dziś za rozstrzygniętą zupełnie, wypadałoby się chyba zastanowić jeszcze nad wygodnem, konserwującem siły umieszczeniem tej amunicyi, która na błotach nierównie większy od kniejowej stanowiąc ciężar razem ze strzelbą i innymi przyborami, dochodzi jeżeli nie przekracza wagi 14-sto funtowej.

Nosząc taki ładunek przez dzień cały w upale lipcowym po kępach i moczarach, można w prozaiczne refleksye przejść z poetycznego nastroju, gdy jak bohaterom Iliady wypadnie własnoręcznie urządzać hekatombę. Pomoc chłopaka niosącego w kobiałce zapaśne naboje, to rzecz nie myśliwska — nie mamy nawet wyrazu odpowiedniego francuskiemu *porte-carnier*, i ten odnosi się tylko do zwierzyny ubitej a nie oznacza żywego jaszczyka używanego czasem przez chińskich mandarynów. Na każdy sposób zasługuje ta niepośledniej wagi kwestya na bliższe rozpatrzenie.

Podana w „Łowcu“ wzmianka o myśliwskiej kamizelce angielskiej, użytej w syryjskiej wyprawie myśliwskiej, którą wdziewa się przez głowę jak ornat, a spina z tyłu; mającej dwie duże kalety na naboje z przodu, jest rzeczywiście cennym nabytkiem w obec dawnych torb ciężących na jednem ramieniu lub pasów obciężających biodra. Są jednak i tu niedogodności, bo podczas upału nie można pofolgować piersiom rozpięciem, jak u zwykłej kamizelki, a chociaż zawieszenie ciężaru amunicyi na karku, wyższe niż u pasa, jest ulgą znakomitą, to jednak kaleta prawa, wypełniona nabojami grubszego kalibru, sterczącymi w nieładzie pękiem wystającym po prawej stronie, jest w szybkich strzałach przeszkodą, której z uwagi spuścić nie można, i przyzwyczaić się do niej trzeba. Otoż do gustu myśliwych, którym nie zależy na zawieszeniu pięknych aparatów rozmaitych podrzędnej wartości, przypadłoby może urządzenie takie, jakiego wzór dają nam Czerkiesi z rzędami ładunków na piersiach. Takie dwa rzędy pochewek na 6 ładunków w jednym rzędzie po każdej stronie piersi, razem dwa tuziny, przytwierdzone do zwykłej kamizelki w kierunku ukośnym, nie tamującym wyciąganie ładunków z rzędów dolnych przez górne, a do tego zapas 24-ch nabojów w ładownicy po prawym boku umieszczone, po lewym zaś siatka do składania wystrzelonych łusek i ubitej zwierzyny, odpowiadałaby może zupełnie praktyce, na co z doświadczenia własnego zwracam uwagę.

Wartoby się jeszcze zastanowić nad losem pomocników naszych, psów legawych, którym panowie myśliwi po trudzie całodziennym każą biedz za wozem do domu po błocie lub w kurzu. Patrząc na ich rozwarte pyski i wywieszone języki nie powinniśmy się dziwić, że szybko tępieją i kaleczeją, zwłaszcza, że po takiej exkursyi następuje zwykle gnuśny spoczynek dłuższy w sieniach przewiewnych, a brak należytego ruchu zastępuje im konwencyonalna przechadzka z panem lub sługą.

L. W.

KRONIKA.

Bilcze, Wrzesień.

W miesiącu Listopadzie zeszłego roku użyłem trzech sposobów ochrony kultur drzew iglastych przeciw uszkodzeniu przez sarny: 1) wbijania ostro zakończonych ku wierzchowi kołków obok sadzonek; 2) smarowania mazią naftową; 3) Obwiązania sadzonek płatkami płótna czerwonego. Wszystkie te trzy sposoby wykonano w kulturze sosnowej w wieku od 3 do 5 lat, na jednej nieprzerwanej przestrzeni 10-cio morgowej, położonej w rewirze, w którym znajduje się w przecięciu jedna sztuka na 3 hektarach, zatem liczba imponująca, która jest w stanie zniszczyć każdą niezabezpieczoną plantacyę. Skutek okazał się jak najpomyślniejszy, gdyż ani jednej sadzonki sarny nie zniszczyły i plantacya wymieniona, po poprzedniem czterorazowem zasadzeniu i czterorazowem zupełnem zniszczeniu, zazielenia teraz dawną pustkę. Koszta wbijania kołków i smarowania mazią podałem w poprzednich moich sprawozdaniach; wspomnę teraz o kosztach obwiązywania sadzonek płótnem czerwonem (zapałem). Płatki ucinano szerokości $1^1/_2$ cm., długości 16 cm., a koszt zapału i obwiązania wynosi na 1000 sadzonek złr. 1.70. Zapał ten obecnie stracił zupełnie barwę czerwoną i stał się blado-różowym. Sposób ten jest zatem najkosztowniejszy w porównaniu do kosztów wbijania kołków i smarowania mazią, który ostatni wynosi 31 kr. na 1000 sadzonek. O ostatnim sposobie ochrony, t. j. o smarowaniu sadzonek mazią, udzielam następującego spostrzeżenia. Wymienioną wyżej kulturę smarowano przez ostatnie dwa lata zawsze w jesieni. Niezważałem na rodzaj mazi, brałem ją z destylarni nafty rumuńskiej w Korolówce, w której używają do destylowania witryolu. Smarowano mazią gęstą nie tylko igły ale i pieniek; maź ta obecnie znajduje się jeszcze na sadzonkach. Przy smarowawiu gęstą mazią uważać należy, aby pączki nieosmarować, gdyż te nie rozwiną się, a szczególnie przy sadzonkach 2 i 3-letnich, przy starszych sadzonkach 4 i 5-letnich obmazione lekko pączki rozwinęły się z wiosną. Ponieważ na jednej i tej samej przestrzeni użyłem trzech sposobów ochrony, zatem miałem sadzonki mazione i niemazione. Sadzonki mazione wypuściły pędy tegoroczne 18 cm. wysokie, zaś niemazione 24 cm. Rozmiary te są przecięciem z 200 sadzonek, różnica zatem o 6 cm. w wzroście w wieku od 3 do 4 lat jest zbyt mało znaczącą, aby mogła kogoś zniechęcić do użycia tego sposobu. Wielu miłośników łowiectwa twierdzi w „Łowcu“ na podstawie doświadczenia swojego, że jedynie karmienie zimową porą sarn, jest najlepszą prezerwatywą przeciw ogryzaniu sadzonek. Drudzy nie chcą widzieć żałobnego wyglądania swych plantacyi przez zimę a może i niektórzy niechcą łożyć kosztów po 31 ct. na każdy tysiąc sadzonek. Otóż ja z całą otwartością i sumiennością zdaję sprawę z moich doświadczeń, że karmię zwierzynę przez całą zimę koniczyną i owsem i to w takiej ilości, że tryzubki napełnia się zawsze, gdy tylko spostrzeże się, że przez następną noc mogą być wypróżnione. Sarny tak się przyzwyczaiły do tej karmy, że w kilka minut po nałożeniu jej przychodzą do tryzubków. Wszystkie okopy w lasach są obsiane miotłowcem *(Sparcium scoparium)*. a w zimie zrębuje się osiki i iwy na karmę dla tych żarłoków. Otóż czynię co jest w mej mocy, aby tylko te miłe stworzenia, które stanowią ozdobę i życie kniei, nie cierpiały głodu, a pomimo tego niszczyły mi wszystkie moje plantacye przez wszystkie poprzednie lata. Z zadowoleniem przypatruję się w tym roku moim plantacyom nieuszkodzonym i jedynie mazieniu sadzonek zawdzięczam ten pomyślny rezultat.

W tym roku przebyły sarny i zające zimę zdrowo. Parkotnia zajęcy zaczęła się w lutym, a młode zajączki widziano pierwszy raz w połowie marca. Kuropatw mamy dostatek, jastrzębi, wron i srók mało, gdyż te ostatnie wybija się przy puhaczach, które wychowano z piskląt wybranych z gniazda, karmiąc je w początkach z ręki ubitem ptactwem. Ilość dzików zmniejszyła się w stosunku do poprzednich lat.

Stanisław Piotrowski.

Ustęp z listu. Co do sprawy szkód wyrządzanych przez sarny, to mam w tym względzie ustalone przekonanie. Widziałem lasy Czech, Morawii, Szlązka, Austryi wyższej i inne, nie ma tam szkód od sarn, bo hodowla ich racyonalna. Czyż nasze sarny polskie są innej złośliwej rasy, że robią takie spustoszenia, o których leśnicy niemieccy i polscy w Poznańskiem nie wiedzą? Ja sądzę, że raczej leśnicy polscy mniej mają od niemieckich wykształcenia i doświadczenia. Wstyd wyznać, ale jest to niestety prawdą. Każdy ritter na 250 morgach ma tam więcej zwierzyny, jak u nas w magnackich kluczach. Nie lubię niemców, ale muszę im to przyznać, że gospodarują wytrwale i rozumnie na każdem polu. Dokądże u nas trwać będzie przysłowie, „że Polska nierządem stoi“ i „jakoś to będzie“? Szlachetni z natury, zapalamy się rychło do pięknych celów, ale jest to ogień słomiany. U nas w Galicyi nic się prawie nie robi w celu istotnego podniesienia łowiectwa, co by dawno powinno być zrobionem. Ani nawet u takich myśliwych, jak ks. A. S.,

hr. W. D., hr. Ar. P., hr. Al. P. nie są wprowadzone urządzenia racyonalne, mające na celu hodowanie zwierzyny pożytecznej. Winna temu z jednej strony nieświadomość leśników, z drugiej skąpstwo właścicieli lasów. Świetnym wyjątkiem jest tylko jeden jedyny hr. Kaź. Wodzicki. Co tu pomogą ustawy, pisma i t. d. w obec naszej tradycyonalnej opieszałości. Hr. Baworowski ma racyę, lecz i u niego nie lepiej. Posyłam dla „Łowca" szkicową biografię znakomitego myśliwego i zoologa Raula Dąbrowskiego (umieścimy ją w następnym numerze P. R.), który, jak mi wiadomo, nadesłał dla naszego przyszłorocznego kalendarza artykuł: o racyonalnej hodowli sarny. Może głos męża europejskiej sławy zachęci naszych myśliwych i leśników do zajęcia się tą nader ważną sprawą, a wtedy niezawodnie na szkody przez nie czynione, nie będą narzekać.

P. R. Głos to człowieka fachowego, światłego i gorliwego protektora sprawy łowieckiej w kraju. Niestety nie możemy z naszej strony stanowczo zaprzeczyć temu głosowi, lubo może on nieco zbyt pessymistycznie jest nastrojony.

Lwów, Wrzesień.

Jak rozpowszechnione jest w kraju naszym kłusownictwo za pomocą sideł i jak lekceważoną jest ciągle ustawa łowiecka nie tylko przez lud nieoświecony, ale też przez inteligencyę, stwierdzi fakt następujący. Po kilkakrotnej konfiskacie na rogatkach lwowskich zwierzyny, pochodzącej z kłusowniczych łowów, zdarzył się d. 6. Sierpnia b. r. wypadek, rzucający jaskrawe światło na opłakane stosunki krajowe myśliwskie i dziwne w tej mierze pojęcia publicznych organów prowincyonalnych. Miejski komisarz targowy lwowski pan H. przytrzymał znaczniejszy transport ptactwa błotnego, chwytanego na sidła w okolicach Szczerca i Mikołajowa i skazał przekupniów prócz konfiskaty zwierzyny na karę pieniężną po 5 złr. Wątpliwość wszelka co do istoty czynu t. j. czy ptactwo to było rzeczywiście łowione w sidła, musiała ustąpić w obec znanej powszechnie wskazówki, że każda sztuka takiej zwierzyny ma siną obrączkę na szyi, wyciśniętą sidełkiem, co przy podmuchnieniu pierza w tem miejscu staje się widocznem. Otóż przy spisaniu protokołu z jedną włościanką ze Szczerca, trudniącą się handlem dziczyzną, okazało się: 1) że handel ptactwem błotnem, łapanem na sidła, jest ciągle popierany tak przez publiczność jakoteż przez restauratorów i handlarzy we Lwowie; 2) że sprawcami właściwymi tego przekroczenia ustawy łowieckiej są ludzie fachowi inteligentni, jak n. p. pewien leśniczy z okolicy Szczerca, który regularnie na każdy targ przywozi wózkiem węgierskim kaczki i bekasy, łowione w sidła, nie wstydzi się jawić się przytem w pełnym stroju myśliwskim i używać wiejskiej, nieświadomej rzeczy kobiety jako narzędzia swego przestępstwa; 3) że stałymi nabywcami tej nieprawnie pozyskanej zwierzyny są, jak urzędownie stwierdzono, naprzód panowie urzędnicy i c. k. Żandarmerya w Szczercu, następnie przekupnie lwowscy. Dalszy tok badania Magistratu i c. k. Starostwa wykryje niezawodnie całą sprawę, demoralizującą lud wiejski i uczyni zadość powadze prawa, któremu poważono się urągać dla dogodzenia łakomstwu. *W.*

Z pod Turki, Wrzesień.

Wskutek raportów naczelników gmin, że w górskiej okolicy naszej rozmnożyły się zwierzęta drapieżne, zarządziło c. k. Starostwo turczańskie polowanie z obławą w lasach Jasionki, Isai i Jaworu. 21. Sierpnia b. r. zebrało się 103 myśliwych i 1040 nagonki, około godziny 9. rozpoczęliśmy polowanie. Rezultatem całodziennych naszych trudów były dwa dziki, ubite przez p. Sozańskiego, trzeci dzik mocno farbując uszedł, jednego wilka zabił leśny turczański. Dnia 22. rozeszła się nagonka, pozostało tylko 430 ludzi i 70 myśliwych. Ubito tylko jednego zająca. Duże stado dzików, przebiwszy łańcuch nagonki uszło wcale nie strzelane. W pierwszym dniu wyszło stado dzików na strzelców pp. Kielhofera i Piątka, lecz oni nie strzeliwszy przerażeni schronili się na stóg siana. Jeden niedźwiedź umknął bokiem pominąwszy strzelców. Polowaniem kierował p. Girgal, nadleśniczy z Rybnika. Nagonkę prowadziło 9 żandarmów i 3 strażników finansowych. Ze starostwa delegowany był p. sekretarz Majer, który czuwał nad utrzymaniem porządku. Pan Girgal jest myśliwym znakomitym, a jednak polowanie się nie udało, z jakiej przyczyny, łatwo odgadnąć, oto z powodu nadto ścisłego przestrzegania reguł, przejętych z wykładów szkoły leśnictwa. Nie zawsze teorya choćby najmądrzejsza, da się w praktyce zastosować, szczególnie w górach. Inaczej poluje się na równinach lub w parkach i ogrodzonych zwierzyńcach, w których zwierzyna niemal musi chodzić szlakami przez kierownika polowania oznaczonymi. W naszych przepaścistych kniejach polowanie z obławą jest niemożliwe. Kilkanaście swór gończaków dobrych byłyby niezawodnie o wiele pomyślniejszy przyniosły rezultat. Wprawdzie urzędowe łowy według dawnego szablonu nie mogą być inaczej urządzone, jak tylko z liczną i hałaśliwą obławą, ale rzeczą było pana nadleśniczego wyjednać zmianę tego szablonu przez wzgląd na górski teren łowiecki, nieprzystępny dla dobrze prowadzonego szyku obławy. W tym miesiącu mam być na polowaniu w Siankach u p. Stroińskidgo, o rezultacie nie zaniedbam donieść. *Lewkun.*

Wszelkie ustawy o szanowaniu zwierzyny nic nie pomogą, jeżeli następujące wypadki będą się zdarzać. Dnia 2. Września zabił p. K. Lipowski, notaryusz z Radomyśla polując na kuropatwy, sześć zajęcy z których dwie samice były kotne. *Ludomił Struszkiewicz.*

Wasylówka (Ukraina).

Myśliwy powinien pamiętać o broni, by zawsze była czystą, szczególnie w nowych systemach łamanych, w których najmniejsza wilgoć, gdy się wkradnie, pozostawiając rdzę psuje mechanizm i strzelbę rujnuje. Częste czyszczenie luf wewnątrz, uważam jako zbyteczne, bo przekonałem się, że strzelba świeżo wymyta gorzej uderzy, jak po zaschniętym wystrzale, co wynika z szorstkości wnętrza luf. Łatwo się o tem przekonać strzelając do celu twardego. Po wymyciu powinna być strzelba przestrzeloną, i w takim stanie użytą do polowania. Ledwie nie po stu strzałach mam zwyczaj kazać wymyć strzelbę, dostrzegłem bowiem, że im więcej strzałów z niej robię, tem silniej bije. Baczyć jednak należy, by napału wewnątrz nie było, próbując umyślnie do tego celu urządzonym ladstokiem w rodzaju szosta, który przy napale się zatrzyma, wtedy natychmiast strzelbę wymyć należy, bo gdy napał stwardnieje, z trudnością daje się usunąć. Wierzch strzelby nie powinien być zbyt jasny, bo i zwierza odstrasza i przy strzale jest niedogodnem. Oto kilka uwag z własnego doświadczenia, zapewne znanych, ale nie zawadzi je przypomnieć. *Antoni z Rokszyc Zapolski.*

Lundmanowo (gub. Wileńska).

Podaję prosty ale pewny sposób leczenia krwawienia się uszów u psów legawych. Nasmarować gęstego kleju stolarskiego na szmatkę i przylepić ją strzegąc, aby pies przez jakiś czas nie ruszał się. Po odpadnięciu szmatki natychmiast przykleić drugą, za każdym razem smarując ranę gęstym klejem. Za skutek ręczę po kilkorazowem przyklejeniu szmatki. *Brykczyński.*

Kamienna, Wrzesień.

Upraszam o umieszczenie następującej korespondencyi jako zakończenia polemiki z p. Walewskim. I ja uważałbym polemikę za zakończoną, gdyby p. Walewski nie poruszył kwestyi, którą, zdaje mi się, już szanowni czytelnicy osądzić raczyli. Pan W. lituje się widocznie nad moją irrytacyą, a ja go mogę zapewnić, że z powodu tej polemiki wody karlsbadzkiej używać nie będę, a łaskawy czytelnik łatwo osądzi, kto z nas właściwie się irrytuje. Co do słowa użytego przezemnie „kłamstwo", to już to jest moim zwyczajem pisać i mówić słowa, tak jak one brzmią, bez misternej osłony. Zwykłem też całkiem prosto, i ze zwykłych strzelb strzelać, a jeżeli się jaki ładniejszy strzał zrobi, nie rozpisywać się o tem w szpaltach „Łowca", wystarcza mi w takim razie własne zadowolenie. Systemów strzelb ani ganię ani chwalę, bo już nie tylko ja, ale fachowi o tem orzekli, że każdy system ma swoje dobre i złe strony i jest to rzeczą upodobania, kto jaki woli. Jedynie ośmieliłem się wystąpić przeciw nielogiczności i niesłusznemu potępieniu Lankastrówek, a posłużę się tu dowodem samego pana W. z ostatniej korespondencyi, w której powiada, że tuzinkowe strzelby lankastrowe są liche. Któż inaczej sądzi? Tuzinkowe strzelby Teschnera może jeszcze mniej byłyby warte. Zresztą cóż tuzinkowego jest dobrem? Nie chcę nużyć czytelników rzeczą, o której już dawno sami sąd wydali, ograniczam się więc na tych kilku słowach jedynie, aby uspokoić pana W. co do mojej irrytacyi i gniewu i zapewnić go, że polemika ani snu ani apetytu mi nie odebrała i że z gustem dalej z moją lankastrówką polować będę, a gdyby mi się wydarzył przypadek poszarpania wilkowi płuc i wnętrzności, a on uszedł daleko po strzale, to wcale nie żenowałbym się prosić fachowych panów medyków o wyjaśnienie, gdyż ja prosty podgórzanin gotówbym tak jak lud twierdzić, że to stworzenie było „nesamowyte". *G. Głuchowski.*

Z sanockich gór.

Wiernie trzymając się tradycyi: na św. Bartłomieja — po raz pierwszy jęknie knieja, rozpoczęliśmy sezon łowiecki polowaniem w kniejach Duszatyńskich. Wy na dołach rozpoczynacie łowy później, nie dziwię się tej wstrzemięźliwości, bo możecie przedtem polować na ptactwo błotne i wodne, którego u nas niema, więc z upragnieniem czekamy Bartosza, aby zapolować, ale nie na zająca, bo on tu w głębokich gó-

rach nader rzadki, a zresztą nawet w połowie Października spotyka się kotną zajęczycę. Słusznie to mówi staropolskie przysłowie:

Do Ludmiły (16. Paźdź.) panie miły
Kiep to na szaraka godzi,
Zajęczyca jeszcze rodzi!

Wraz ze świtem 24. Sierpnia wyruszyliśmy w 18 myśliwych i trzy swory gończaków w ostęp, a około godziny 10 rozpoczął się gon. Psy trafiwszy na stadko jeleni od razu siadły im na piętach i chórem ozwały się ich głosy, więc baczność! Niestety zawiodła nadzieja, stado poszło w przeciwną stronę, ku Węgrom. Zanim psy wrócą, upłynie godzin kilka, zbliżam się tedy ku stanowisku pana Van-Sevre, pół holendra, pół francuza, aby przegawędzić czas oczekiwania. Kroczę tedy ku owemu panu, a stał on w gąszczu tuż przy polance, na której nagle zjawia się na 15 kroków od p. Van-Sevra rogal kapitalny. Naturalnie pozostawiłem mu pierwszeństwo strzału, ale on zagapił się na jelenia i nie strzela. Wreszcie rogacz dostrzegłszy człowieka zgrabnym skokiem pomknął w gąszcz — i tyleśmy go widzieli. Przybiegam do francuza i pytam: „Widziałeś pan“? — „Widziałem — odpowiada — co to za zwierz był, nigdy takiego nie widziałem“. Z oburzeniem zawołałem: „Oto wysoka cywilizacya, dobra ona, ale nie dla łowiectwa“! Na bajkę to moje opowiadanie wygląda, a jednak jest prawdziwe. Po odezwaniu się gończaków, zbliżył się przezorny jeleń ku stanowiskom myśliwych. Jeleń rogal zwykle z rozpoczęciem rui i na krótki czas przed nią, roznamiętniony staje się mniej ostrożnym, w tym też czasie kłusownicy łatwiej go ubijają. Po dwóch godzinach psy wróciły zjajane, nie było co robić, wróciliśmy do domu skwaszeni drwiąc niemiłosiernie z holendro-francuza.

K. O.

Z okolic Bodzanowa (Król. Pols.).

Polowania z wyżłem stanęły już na porządku dziennym. Kuropatw zdaje się być dosyć, zajęcy bardzo mało. Jest to wynik nieoględnego tępienia przez miejskich amatorów polowania i kłusowników, jakoteż tępienia młodej zwierzyny przez pastuszków, którą to ostatnią okoliczność powinnyby wziąć na uwagę gminy i srogie wymierzać kary na bezrozumnych tępicieli tej prawie jedynej niewinnej rozrywki dla gospodarza, mającego zawsze przed sobą widmo strasznego konania ekonomicznego.

Koresp. Płocki.

Podczas mego dwutygodniowego pobytu u p. H. K. w Zabińcach na Podolu galicyjskiem, byłem świadkiem nadzwyczajnej zuchwałości jastrzębi. Polowaliśmy we dwóch na błotach, pan H. strzelił do kszyka i zabił go, lecz zanim wyżeł zdołał dobiedz, aby go przyaportować, zjawia się jastrząb i porywa psu z przed nosa kszyka. Pan H., który był zajęty nabijaniem strzelby, nie widział tego, lecz na moje zawołanie: „pilnuj jastrzębia!“ składa się i spuszcza go na ziemię. Nie miał jednak pies czasu podnieść kszyka, gdy drugi jastrząb nadleciał, porwał go w szpony i wzbił się z nim w powietrze. Nie długo jednak cieszył się zpobyczą, bo pan H. wkłada ładunek, strzela i na ogromną odległość przetrąca mu skrzydło. Stanąłem osłupiały, nie wiedząc co podziwiać, czy zuchwałość jastrzębi czy szybkość i celność strzałów gospodarza.

Piotr Łastowiecki.

Masa nieprzemakalna do butów. Rozpuścić na ogniu wciąż mięszając: łoju ćwierć funta, tłuszczu wieprzowego cztery łuty, wosku dwa łuty, terpentyny dwa łuty, wosku dwa łuty, oliwy maszynowej dwa łuty. Skoro mięszanina stanie się jedną masą, odstawić z ognia i przełożyć do słoika. Używa się na zimno. Wysmarować buty gałgankiem lub szczotką i osuszyć w cieniu. Jeżeli masa ma być czarną, należy dodać do roztopionej mięszaniny odpowiednią ilość sadzy i zmięszać ją dobrze.

Kuryer rolniczy.

Łowy podczas zjazdu monarchów w Kromieryżu. W lesie książęcym około Kromieryża odbyło się 26. Sierpnia na cześć obecności cesarza rosyjskiego bardzo pomyślne polowanie na jelenie i daniele. Zwierzyniec tamtejszy rozlega się na przestrzeni 800 morgów i otoczony jest w części sztachetami, w części zaś drutem, urządzony wybornie pod względem łowieckim i zawiera w sobie zwierzostan około 200 jeleni, 100 danieli, 100 dzików (osobno zamkniętych). Właściciel myślistwa książe arcybiskup Fürstenberg, sędziwy, ale jeszcze żwawy, pełen życia, uprzejmy i ujmujący, jest wytrawnym, namiętnym i znakomitym myśliwym i troskliwym hodowcą zwierząt. Po poprzedniem urządzeniu całego aparatu łowieckiego i ściągnieniu 26. Sierpnia odpowiedniej liczby nagonki, przybyli o godzinie 11. monarchowie z swoim dworem na plac zborny, zkąd właściciel łowów i jego siostrzeniec margrabia Pallavicini prowadzili ich na stanowiska. Na dany sygnał rozpoczął się miot, w którym było 130—140 jeleni i 70—80 danieli. Żywo on poruszał myśliwych, bo zwierzyna miała obszerne miejsce do przemykania. Po skończonem polowaniu wyjechało dostojne grono tą samą drogą, którą wjazd się odbył, do leśniczówki, gdzie obie cesarzowe ze świtą oczekiwały uczestników łowów. W umyślnie urządzonym, trójszczytowym, ogromnym, bardzo pięknie tapetowanym, otwartym namiocie przed leśniczówką spożywano śniadanie, podczas którego solista nadwornej opery Schantl i dwaj strzelcy cesarscy przegrywali na obojach. Grano żwawe rozweselające kawałki bez kapelmistrza i batuty. Skromny biały papier podawał numera programowe. Cesarstwo oboje raczyli rozmawiać z panem Schantlem, którego też przedstawiono cesarzowej rosyjskiej. Takiego tryumfu nie święcił jeszcze nigdy oboj, jako instrument myśliwski. Nawet cesarz rosyjski widocznie był uradowany i zadziwiony tą wyborną, niewyszukaną a ożywiającą muzyką. O godzinie 3. opuściło dostojne grono myśliwskie, w którem car swobodnie się poruszał, las książęcy. Miot z znamienitą znajomością rzeczy urządzony miał 11 stanowisk, obstawiony w następującym porządku: cesarz rosyjski, cesarz austryacki, hrabia Woronzow-Daschków, generał broni baron Ramberg, książe arcybiskup kardynał Fürstenberg, margrabia Pallavicini, generałowie Richter i Berchtoldsheim, Czerewin i baron Fliesser, chirurg nadworny rosyjski Dr. Hirsch, następca tronu arcyksiążę Rudolf, cesarzewicz W. książe Włodzimirz. Stanowiska były oddalone od siebie na 80 do 100 kroków. Po śniadaniu znajdowało się na rozkładzie 41 sztuk. Później znaleziono 17 sztuk, ubito więc sztuk 58.

Jagd-Zeitung.

Rzadki strzał. W wysokim stopniu zimnej krwi, niepowszedniej dziś odwagi i rzadkiej celności strzału złożył niedawno dowód p. M. K., właściciel Mutwicy w Królestwie. Było to na polowaniu, psy wytropiły starego odyńca. Rozjuszony dzik wyszedł prosto na stanowisko p. M. K., odcinając się psiarni i grożąc myśliwemu ponurem z podełba spojrzeniem i potężnymi kłami. Chwila była wielce krytyczna, a niebezpieczeństwo tradycyjnie myśliwym znane i w przypowieści uświęcone. Trafny strzał, albo śmierć lub ciężkie kalectwo niechybne. Pan M. K. nie tracąc przytomności dopuścił odyńca na 10 kroków i wpakował mu kulę pod same oko. Zwierz runął u nóg dzielnego strzelca. Przywieziony do Warszawy ów olbrzym wzbudzał podziw tych, co go mieli sposobność oglądać, a skórę wypchano do gabinetu zoologicznego.

W fabryce broni Saint Etienne we Francyi wykonują próby obecnie z karabinem wynalazku p. Picard, siostrzeńca generała tegoż imienia, nabijanym na dwa tempa, który dozwala wyrzucić 30 kul na minutę.

(Jagd-Zeitung 1885.)

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr 18.

I. Zwiazkowa Drukarnia we Lwowie.